odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI.
Łódź, 14. IV. 63.
Nr 15 (267)
Cena zł 1.—

JAN BĄBINSKI

ŚWIĘTE MRÓWKI GDZIE JESTEŚCIE?

Doprawdy, nie wiem, z którego zacząć końca. Rzemiosło to machina, pełno w niej przybudówek, choć pod względem prawnym można by je rozciąć na dwie części tego samego pnia. Na produkcję i usługi. Produkcja jest wytwarzaniem dla niewiadomego odbiorcy. Jeśli więc zamówisz parę butów na Piotrkowskiej, to szewc ich nie wyprodukuje. Odda ci tylko usługę. Wszak klient jest znany, podał adres, uiścił przedpłatę.

Zacznijmy tedy od usług, będzie prościej.

Z tymi usługami dzieją się rzeczy dziwne, by nie powiedzieć kryminalne. Do rzemieślnika, który stawał przed komisją egzaminacyjną, ma kartę i zezwolenie na ścianie, przyczepił się rzekomy spółdzielca w asyście rączych fuszerów, gotowych zawsze do wszelakich posług. Rzekomy spółdzielca to novum absolutne, wyróżnik rodzimego chowu. Urządza podręczny warsztacik na strychu, w piwnicy, gdzie się da. Przy sposobności smaży własną pieczeń na spółdzielczym ogniu. To wybieg klasyczny trudzić się rzekomo w spółdzielni. Łatwiej wtedy o śrubkę, nie śrubkę, miedzianą rurkę i kabel na metry. Rzekomi spółdzielcy mają dużo czasu, dobrych chęci i kabla, lecz dopiero po 16, kiedy robota idzie w spółdzielni na kołek. Wtedy zjawiają się ponownie w twym mieszkaniu i pytają z cicha pęk — kabel? Ile panu trzeba? A może wmontować nową wężownice do piecyka?

Oj, ten kabel, po nim jak po nitce trafiono już do niejednego kłębka. Ale nie do wszystkich...

Co tam rzekomi spółdzielcy, to kiełbie, płotki, choć ruchliwe i jak szarańcza mnogie. Egipską plagą, od której rzemieślnik nie może się podnieść, jest fuszer bez papierów. Partacz operuje w podziemiu, rozsadza uznane rzemiosło od wewnątrz, ściślej od spodu. Lecz gdy się waży na biały dzień, też nie zakłada czapki-niewidki. Po cóż? Wszyscy i tak go znają w partykularzu, z wszystkimi jest za pan brat. Sam żyje, drugim żyć daje. To on prowadzi nielegalny warsztat rzemieślniczy, podatków nie płaci, na prawo wypina się, nie narzeka.

Klimat zagęszczony cwaniactwem? Jakże inaczej, fuszer prosperuje tylko w gęstej atmosferze.

Ilu fuszerów kręci się po ziemi łódzkiej? Niemało, około 8 tysięcy, może nawet więcej. Liczby podaję za osobami zorientowanymi w rzemieślniczej profesji. Według mnie, można by je brać za urzędowe, chociaż żaden urząd nie chce o tym słyszeć. Proszę głowy nie zawracać, dla nas ważne są wykazy. W rejestrach te warsztaty nie figurują, więc ich nie ma.

A nagrobki są na cmentarzach powiatu bełchatowskiego?

Są, mnóstwo ich. Serce ro-

Dalszy ciąg na str. 6

PORWANIE pułkownika ARGOUDA

Pułkownik Antoine Argoud, szef wojskowy tajnej organizacji OAS (Organisation de l'Armée Secrète), którego francuski trybunał skazał zaocznie na karę śmierci — został w lutym b. roku schwytany przez agentów w Monachium i w tej chwili znajduje się już w więzieniu paryskim, oczekując swojego losu. Ale nim do tego doszło, pułkownik Argoud, liczący sobie 48 lat i 160 cm wzrostu, rozwijał wszechstronną i ożywioną działalność, zasługującą na bliższą uwagę.

Do czołówki kierowniczej OAS w ostatnim okresie, oprócz Argouda należeli: były premier Georges Bidault, były minister informacji Jacques Soustelle oraz eksgenerał Paul Gardy. Bidault i Soustelle kierowali stroną polityczną organizacji, zaś Argoud czuwał nad sprawami wojskowymi i ideologicznymi. W swoim czasie w Algierii Antoine Argoud dowodził regimentem strzelców. Z zimną krwią, przy użyciu nowoczesnych wypróbowanych sposobów, znęcał się on nad powstańcami algierskimi nawet po ich śmierci. Zabitych nie pozwalał grzebać w ziemi, zostawiając ich na ulicach miast i wsi, gdzie ciała pomordowanych rozkładały się w słońcu. Młodocianych powstańców podkomendni Argouda wieszali w obecności rodziców na drzwiach ich domów, a wziętych do niewoli jeńców mordowali przy pomocy tortur elektrycznych. Nawet niektórzy z jego zwolenników obruszali się na stosowanie tak okrutnych metod. Ale Argoud wierzył w swoją gwiazdę, a w razie potrzeby operował narodową frazeologią w sposób sugestywny i schlebiający. „Młodzież Francji — mówił — powołana znowu pod sztandary, okazała się najlepszą młodzieżą, jaką kraj nasz kiedykolwiek posiadał. Wszystko można jeszcze uratować, jeśli tylko armia będzie zdolna do przezwyciężenia swych słabości. Ale godziny są policzone".

Gdy 13 maja 1958 roku armia przekazała władzę w ręce de Gaulle'a, Antoine Argoud był pewny, że jego chwila się zbliża. Wierzył bowiem, wraz ze swymi współpracownikami, że de Gaulle nie zawiedzie ich nadziei. Kiedy jednak nowy przywódca Francji postanowił wycofać się z Al-

Dalszy ciąg na str. 8

TADEUSZ WIĄCEK

KOMISJE codziennej życzliwości

Już na początku października 1962 roku działało w naszym mieście 128 Społecznych Komisji Pojednawczych. Akcja powołania SKP w Łodzi stała się głośna w całym kraju. Pisały o niej wszystkie łódzkie dzienniki, dużo miejsca poświęcił tej sprawie nasz tygodnik, pisała „Trybuna Ludu", telewizja nadała specjalny program. Tymczasem od powstania SKP minęło już osiem miesięcy. Skończył się okres eksperymentu i dziś z perspektywy tych kilku miesięcy można z powrotem (nie ad hoc) zająć się problematyką SKP. Jako teren badań wybrałem dzielnicę, w której działalność SKP od początku była najaktywniejsza. Tą dzielnicą jest robotnicza Górna. W chwili obecnej działa tutaj 55 Społecznych Komisji Pojednawczych, w ogólnej liczbie 67 komitetów blokowych. Do chwili obecnej SKP w tej dzielnicy rozpatrzyły 180 spraw, tylko w 18 nie doprowadziły do pozytywnego rozwiązania. Przytoczone tu cyfry świadczą wyraźnie o przodującej roli dzielnicy Górna w rozwoju akcji SKP w naszym mieście.

JAK PRACUJĄ KOMISJE

Sposób uruchomienia Społecznej Komisji Pojednawczej wygląda następująco. Pan Z. ma pretensje do pani L. o jakąś wyrządzoną mu krzywdę. Pisze więc skargę, którą zanosi bądź do przewodniczącego komitetu blokowego, bądź bezpośrednio do któregokolwiek z członków SKP. Stąd skarga trafia do przewodniczącego SKP. Ten z kolei robi wywiad zarówno z oskarżającym jak i z oskarżonym. Po dokładnym zaznajomieniu się ze sprawą, próbuje na miej-

Dalszy ciąg na str. 2

Fot.: E. Kudaj

KOMISJE codziennej życzliwości

Dalszy ciąg ze str. 1

scu pojednać zwaśnionych. Gdy to nie daje rezultatu pozostaje rozpatrzenie sprawy przez SKP. Wyznacza się wtedy termin zebrania SKP (przeważnie w szkole, lub świetlicy leżącej na terenie bloku) i zawiadamia o tym obie strony. W tym miejscu wyłania się podstawowa trudność SKP — jak wezwać na rozprawę oskarżającego i oskarżonego. „Odgłosy" w październiku 1962 roku pisały: „Regulamin nie przewiduje żadnych wezwań pisemnych ani wniosków na piśmie, a mimo to zdarzały się ciągoty do tej papierowej techniki". Praktyka wykazała jednak, że ta „papierowa technika" jest coraz częściej wykorzystywana. Czy słusznie? Wydaje mi się, że tak. Zawiadomienie ustne jest niewystarczające, a tak drobna sprawa jak wezwanie pisemne stwarza aurę powagi wokół SKP. Wróćmy jeszcze do chwili, w której przewodniczący SKP wysyła wezwania. W oznaczonym dniu (przeważnie w niedziele do południa) zbiera się Społeczna Komisja Pojednawcza, w skład której muszą wchodzić najmniej trzy osoby. Na „rozprawie" oprócz stron zwaśnionych mogą również przebywać wszyscy, których interesuje jej przebieg. Przed jakiego rodzaju sprawami stają członkowie SKP? Regulamin działania SKP wytyczył w 21 punktach zakres spraw, którymi mogą zająć się Komisje. W większości wypadków rozpatrywane sprawy pokrywają się z wymienionymi w regulaminie punktami. Powtarzają się więc do znudzenia pyskówki. Tak, tak nadal pozostaliśmy „rozrzutni" w słowach. Kłócimy się o zdawałoby się najdrobniejsze sprawy: o wylewanie nieczystości, o użytkowanie pralni czy strychu, o dzieci, o komórki, o to, że sąsiad nad nami głośno stąpa itp. Podobnie wyglądają tzw. spory rodzinne. Ale obok takich spraw SKP stają, niekiedy przed sprawami nie objętymi regulaminem. Na przykład kilkakrotnie już SKP rozstrzygały sprawy alimentacyjne. Starzy, częstokroć chorzy ludzie przychodzą do SKP ze skargami na dzieci, które nie czują się w obowiązku roztoczenia nad nimi opieki. Członkowie SKP nie odsyłają takich ludzi z „kwitkiem" (do czego zresztą mieliby prawo, gdyż tego rodzaju sprawy wykraczają regulaminowo poza zasięg ich działalności). Podobnych wypadków nie uwzględnionych przez regulamin można by przytoczyć jeszcze więcej. Wniosek stąd, że ciasno wytyczone punkty zasięgu działania SKP w regulaminie należałoby poszerzyć.

LUDZIE PRZED SKP

Każda skarga, która wpłynie do SKP jest rozpatrywana w przeciągu miesiąca. Poważnione strony mają więc dużo dni na pogodzenie się i odwołanie skargi. Wypadki takie zdarzają się jednak tylko sporadycznie. Gdy nie skutkuje próba pogodzenia bądź przez członka SKP, bądź też przez blokowego, musi odbyć się „rozprawa". Do nielicznych należą wypadki, gdy któraś ze stron nie stawia się na posiedzenie SKP. Przychodzą więc oskarżający i oskarżeni, często z całymi rodzinami. Obok nich na sali znajdują się jeszcze widzowie. Zachowują się przeważnie spokojnie, przyjmując postawę zaciekawionych gapiów. Przypatrują się, słuchają i wyciągają wnioski. Starają się dbać o to, by zachować swą pozycję widza i nigdy nie stanąć przed SKP w charakterze stron. Niektórzy z nich nie opuścili dotychczas ani jednego posiedzenia SKP w swoim bloku. Większość jednakże zjawia się przypadkowo. Komentują toczącą się sprawę i nieraz po jej zakończeniu dzielą się swoimi spostrzeżeniami z Komisją. Ale głównymi aktorami spraw toczących się przed SKP są zwaśnione strony. Przychodzą z gotowymi argumentami na poparcie swych wypowiedzi, nierzadko sprowadzając ze sobą świadków. Tutaj uwypukla się bardzo ciekawy moment. Wszyscy zebrani na sali odczuwają powagę chwili, mimo że nie ma tu ław oskarżonych, sędziów w togach, protokołujących itd. Niewątpliwie wskazuje to, na wysoką już rangę społeczną SKP. Poważnieni przeżywają toczącą się sprawę. Niektóre posiedzenia SKP są bardzo trudne, obie strony zaciekle bronią swoich racji. Wtedy najczęstszym argumentem do pogodzenia są słowa: — „Jeśli nie pogodzicie się tutaj, traficie do kolegium lub sądu, a tam nie uchronicie się przed co najmniej kilkusetzłotowymi wydatkami". Jak wykazała praktyka, argument ten skutkuje w przytłaczającej większości wypadków.

SPOŁECZNICY

W tym miejscu chciałbym się zatrzymać przy społecznikach pracujących w SKP. Skąd nagle znalazło się blisko tysiąc ludzi poświęcających swój czas na pojednywanie skłóconych bliźnich. Większość z nich to doświadczeni już społecznicy, którzy oprócz pracy w SKP są jeszcze np. terenowymi opiekunami społecznymi, wchodzą w skład komitetów blokowych.. Znani są na terenie swojego bloku, mieszkają tu już co najmniej kilkanaście lat. Cieszą się poważaniem u współmieszkańców. Przeważnie są już zaawansowani wiekiem. Dzielnica Górna jest w tym wypadku nietypowa — procent emerytów pracujących w SKP jest stosunkowo niewielki (38 na około 350 członków SKP). W innych dzielnicach jest ich znacznie więcej. Rozważania nad społecznikiem jako takim nie doprowadzą nas do niczego. Dlatego skierowałem się bezpośrednio do kilku przewodniczących SKP w dzielnicy Górna. Byli to renciści i pracownicy umysłowi. Szczerze mówili o swojej pracy w SKP. Pan Zenon Majek, którego komisja działa w bloku piątym, jest starszym człowiekiem i doświadczonym już społecznikiem. Był jednym z pierwszych przewodniczących SKP w Łodzi. Jego komisja rozpatrywała pierwszą sprawę na początku sierpnia ubiegłego roku. Od tego czasu załatwiono tu pozytywnie 16 spraw na siedemnaście rozpatrywanych.

Pani Maria Ścisłowska wraz z p. Stefanem Golińskim przewodniczą SKP przy bloku 53. Pani Maria jest chyba najbardziej znaną przewodniczącą SKP w naszym mieście (do czego w niemałym stopniu przyczyniła się telewizja, gdzie p. Maria wystąpiła podczas programu o SKP). W jej komisji padł rekord rozpatrzonych spraw — 34, z tego 4 skierowano do sądu (chodziło o komorne). P. Ścisłowska zawsze stara się doprowadzić do pojednania przed zwołaniem SKP. Ta akcja przynosi czasem rezultaty, ale ilość „rozpraw" świadczy o wysokim stopniu „kłótliwości" mieszkańców bloku 53. Do najciekawszych spraw rozpatrywanych ostatnio w tej komisji należy skarga 16-letniej ciężarnej dziewczyny na rodziców i rodzeństwo. I tym razem doprowadzono do zgody. P. Ścisłowska uważa (i chyba słusznie), że dotychczasowe doświadczenia członków SKP należałoby wymieniać. Stąd wniosek, że od czasu do czasu powinny być organizowane zebrania członków SKP, gdzie poruszano by problemy związane z pracą tych ludzi. Myślę, że ten projekt winien zainteresować poszczególne władze dzielnicowe naszego miasta. Trzecim moim rozmówcą był mgr Teodor Kotwicki przewodniczący SKP przy bloku 64. Do tej pory jego komisja interweniowała w 9 sprawach, zawsze z pozytywnym skutkiem. Właśnie p. Kotwicki opracował niedawno projekt wezwań przed SKP. Warto pomyśleć o wcieleniu go w praktykę wszystkich komisji. Mówiąc o pracy SKP p. Kotwicki twierdzi — „Rozpatrując złożoną skargę, nie staramy się wnikać w zadawnione sprawy, obchodzi nas tylko aktualna przyczyna istniejącego sporu". Na zakończenie rozmowy dodaje, że członkami SKP powinni być ludzie, którzy mają trochę wolnego czasu. Tu otwiera się pole do działania rencistów, których stosunkowo mało pracuje w SKP dzielnicy Górna.

OBRONA INTYMNOŚCI

Przyczyny nie ustającej lawiny pyskówek i innych wszelkiego rodzaju sporów i kłótni szukać należy nie tylko w szybkim, gorączkowym tempie naszego życia. Terenem tych sporów nie jest zakład pracy, lecz dom i sąsiadujące z nim najbliżej okolice (podwórko, ogródek, sąsiednie podwórko itd.). Problem zarzucania sądów sprawami o drobne wykroczenia nabrzmiał już kilka lat temu. Dlatego więc nikt nie wpadł wcześniej na pomysł powołania do życia SKP? Wydaje mi się, że powstanie SKP wiąże się z podkreśleniem doniosłej roli jaką odgrywa w naszym dzisiejszym życiu — ś r o d o w i s k o. Właśnie tu, a nie gdzie indziej kształtuje się osobowość człowieka, i tutaj ścierają się poszczególne osobowości. Ten sam człowiek w zakładzie pracy jest innym człowiekiem, a innym będzie u siebie w domu, ogródku, czy na swojej ulicy. Po pracy osobowość człowieka domaga się odprężenia, wejścia w sferę i n t y m n o ś c i. Człowiek ma przeświadczenie o świętym prawie do własnego gospodarowania swoim wolnym czasem. Przeznacza go przeważnie na odpoczynek. Gdy jest w zakładzie pracy nie drażni go przesuwanie za ścianą stołu, natomiast będąc w swoim domu dostaje „białej gorączki" słysząc ten sam dźwięk, na który w pracy w ogóle nie zwrócił uwagi. Po czasie spędzonym w zakładzie pracy, stołówce, tramwaju, ulicy, człowiek musi mieć czas na intymność. W tym czasie jego osobowość osiąga najwyższy szczyt wyczulenia na najdrobniejsze drażniące go sprawy. Z tego powodu nawet nic nie znaczące w gruncie rzeczy słowa powodują kłótnie i awantury, ciągnące się niekiedy miesiącami, a znajdujące swój finał przed SKP, Kolegium Orzekającym, sądem. Wartość SKP jest tym większa, że sięga do miejsca powstałego sporu, że „rozprawki" odbywają się jakby za ścianą i również „za ścianą" dochodzi do pojednania. Członkami SKP są ludzie wrośnięci w środowisko, czujący jego atmosferę, trzymający cały czas rękę na pulsie życia swojego bloku. Wiąże się to oczywiście z zapobieganiem wielu sporom, kłótniom i awanturom tj. drobnym sprawom, które w sumie składają się na problem społeczny. I w tej działalności, która dopiero z czasem da wyniki, dostrzegamy olbrzymi walor Społecznych Komisji Pojednawczych. Nie zapominajmy, że każde pojednanie doprowadza zwaśnionych do tak potrzebnego im (i odczuwanego przez nich) czasu codziennej intymności i zwiększa sumę wzajemnej życzliwości.

TADEUSZ WIĄCEK

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

WACŁAW KIEPURSKI

Pan Wacław Kiepurski zaczął pracować na Poczcie przed siedemnastu laty. „To było tak — mówi — najpierw pracowałem w Wieluniu. Nie byłem jeszcze wtedy żonaty. Żonę poznałem po drucie. Ona jest telegrafistką. I ja też pracowałem w Wieluniu w telegrafie. Rozmawialiśmy ze sobą służbowo, no a potem prywatnie. Kiedyś przyjechałem do Łodzi, poznałem ją, no i w parę miesięcy później ożeniłem się".

Małżeństwo pana Wacława Kiepurskiego zostało zawarte w sposób, który nadaje technice i jej dobrodziejstwom dodatkowych blasków. Współczesność ma jak widać wpływ całkiem zasadniczy na życie, bo pan Wacław z żoną telegrafistką zamieszkał w Łodzi.

„Poprosiłem o służbowe przeniesienie — mówi — i od 1949 roku pracuję jako doręczyciel". Rozpoczął pracować w Urzędzie Łódź 2, w ambulansach pocztowych. „Praca ta była bardzo ciężka — mówi — trzeba było pracować w nocy, człowiek nanosił się tych pocztowych worków, bo to była praca właściwie przeładunkowa. Później pracowałem na Nowym Złotnie, w Urzędzie Łódź 1 - Śródmieście, potem na Bałutach, aż do tego podziału na Urząd Łódź - Bałuty i Łódź - Doły. Jak to Osiedle wybudowali jesteśmy Łódź - 25".

Pan Wacław urodził się w Działoszynie, tym samym, w którym teraz buduje się największą w Polsce cementownię.

„Matka mi szybko odumarła — mówi — ojciec się ożenił, wychowywałem się u obcych, co tam, ziemi było kawałek, i to lichej. Skończyłem szkołę podstawową i poszedłem do terminu. Bo ja mam zawód, taki jak to się mówi — konkretny — kowal-ślusarz. Ale i przed wojną w nim właściwie nie pracowałem, byłem ekspedientem, pracowałem gdzie się dało, ale świadectwo czeladnicze i dyplom mam".

Państwo Kiepurscy prowadzą bardzo pracowite życie. Obydwoje pracują na Poczcie, obydwoje wychowują Lucjana Henryka, który niebawem rozpocznie edukację w pierwszej klasie szkoły podstawowej. „Żona pracuje na zmianę, a mój plan dnia jest taki: wstaję 5.30, wychodzę z domu o 6 rano. Znam rozkład jazdy tramwajów, nie mogę się spóźnić, z Mani, gdzie mieszkam, na Doły jadę ponad godzinę, a pracę zaczynam o 7 rano". Po przywiezieniu poczty, cała korespondencja znajduje się w jednym worku. Ośmiu pracujących w Urzędzie nr 25 listonoszy opracowywuje odcinki, segreguje listy i przesyłki, robi rejestr przesyłek, wpisując je do kart doręczeń (potem te karty podpisujemy), pobiera pieniądze w kasie. Dużo to roboty i dużo pisania. Każdy z listonoszy, a właściwie doręczycieli, bo taki noszą tytuł służbowy, segreguje na odpowiednich stołach listy, a potem układa numerami domów i mieszkań po to, by w czasie obchodu okręgu nie było już kłopotu, by nie trzeba było wracać do tego samego mieszkania.

„My to segregowanie nazywamy „podłożeniem pod klamkę". Bardzo to ułatwia pracę. Każdy z nas zna swój obwód, zna ludzi, do których nosi listy, ale ta wstępna praca ułatwia orientację. Poruszam się dzięki niej pewnie, wiem co do kogo niosę. Dlatego, jak mnie ktoś pyta o list, mogę mu od razu odpowiedzieć, jest czy nie ma".

Pan Wacław około godziny 10 wyrusza z Urzędu na Spornej, obchodzi domy na Brackiej, Harcerskiej...

Potem, kiedy torba jest już pusta, wraca do Urzędu. Tu dokonuje tzw. likwidacji, tak nazywa się zdawanie przesyłek, przekazów itd. „Właściwie pracuję do trzeciej, ale bardzo rzadko kończę o trzeciej pracę. 15—15.30, tak zwykle wracam do Urzędu. A w domu jestem około godziny 18. I wtedy trzeba się zająć dzieciakiem, pomóc żonie".

Noszenie listów przez parę godzin dziennie, z torbą ważącą średnio 12—15 kilogramów, to bardzo ciężka praca. „Ale ja ją lubię — mówi. — Już człowiek się przyzwyczaił. Wprawdzie żylak', żołądek, to choroby zawodowe, ale jakoś się pracuje. Najgorsza rzecz, to te skrzynki. Teraz coraz tu więcej bloków, a skrzynek nie ma. Powiedzieli nam, że nie będzie, że prędzej całą Łódź wybudują, niż zrobią skrzynki". Listonosz musi więc chodzić po piętrach, oddawać każdemu z mieszkańców list do „rąk własnych". W ten sposób praca trwa i dłużej i jest o wiele cięższa. A skrzynki na listy dla laika wydają się problemem błahym i łatwym do rozwiązania przy odrobinie dobrej woli.

„A ludzie? No ludzie są różni. Na ogół witają nas z radością, są mili, uprzejmi.

Czasem tylko nie rozumieją, że obowiązują mnie przepisy. W zasadzie przekazy pieniężne powyżej trzystu złotych wolno nam wręczać tylko adresatowi. Ludzie tego nie rozumieją. Kiedyś jedna kobieta zrobiła mi awanturę, nie chciałem dać jej pieniędzy adresowanych do męża, zwymyślała mnie wtedy ile wlazło. Miałem świadków, bo ludzie się zbiegli, mogłem zameldować naczelnikowi, sprawę oddać do prokuratora, ale pomyślałem sobie, że do więzienia najłatwiej człowieka wsadzić i tak to zostawiłem".

„Kiedyś, nie wiem jak to się stało, zginęło mi 1.000 zł. Zawsze człowiek liczy dwa razy, ale czasem szybko wydaje się pieniądze i człowiek jest zmęczony. Pytałem wtedy, bo komuś musiałem dać więcej, ale gdzie tam, nikt mi nie oddał. Każdy z nas miał takie wypadki, czasem sumy mniejsze, czasem większe, ale z własnej pensji trzeba płacić, a ona nie jest duża. Mam teraz po awansie na starszego doręczyciela 1.040 zł". Każdy doręczyciel otrzymuje umundurowanie zimowe i letnie: jedną bluzę i spodnie — jedną na dwa lata, a czapkę i płaszcz na 3 lata. Otrzymuje też parę butów na rok i tzw. odzież ochronną — rękawice, swetry, peleryny. Ale pan Wacław nigdy nie chodzi, nawet w największe mrozy, w palcie. „Jest mi ciepło — mówi — człowiek jest zahartowany. Zimę, nawet taką tęgą jak w tym roku, lubię, mniej się męczę, gorzej jest latem".

W domu państwa Kiepurskich jest dużo książek. Starszy doręczyciel jest pilnym czytelnikiem. „Mam około 500 tomów, mam Balzaca, Reymonta, Zapolską, Orzeszkową, Fidlera, Meissnera, Dumas. Lubię czytać powieści, książki historyczne, podróżnicze. Wiele się człowiek z nich dowiaduje. Do kina i do teatru chodzę rzadko, najczęściej po pracy zajmuję się synem. Czytam mu, gramy w chińczyka, a on przy tej okazji nawet, taki spryciarz, nauczył się liczyć. Chciałbym mu stworzyć takie warunki, żeby mógł zdobyć wiedzę. Chciałbym też mieć mały domek, poza miastem, z ogródkiem, żeby człowiek mógł odpocząć, żeby syn coś miał".

„Listonosz — mówi pan Wacław — wie najwięcej o życiu, najwięcej widzi, z różnymi ludźmi się spotyka, dlatego lubię ten zawód. Przykre jest tylko to, że ci, którym przynosimy pieniądze uważają, że powinni dać nam kilka złotych. To jest ogromnie upokarzające".

Ludzie zawsze czekają na pana Wacława, wszyscy go znają i lubią. „Listonosz nie może się rozstawać ze swoją torbą, nie może przyjmować poczęstunków, nie może nawet wypić gorącej herbaty kiedy jest zimno — mówi. To są przepisy, mające na względzie nasze bezpieczeństwo i bezpieczeństwo korespondencji. Taka to jest praca".

EKRANIK

▲ Producenci włoscy Carlo Ponti i Joseph Levine w trakcie jednej z konferencji prasowych zaznajomili dziennikarzy ze swymi planami na najbliższą przyszłość. Okazuje się, że obaj producenci wzięli na warsztat twórczość Alberta Moravii. I tak rozpoczęto już, czy też w najbliższych dniach rozpocznie się realizację filmu „Wczoraj, dziś, jutro", reżyseria: Vittorio de Sica, w rolach głównych Sophia Loren i Marcello Mastroianni; „Casanova", reżyseria: Mauro Bolognini („Zdarzyło się to w Rzymie"), w roli głównej Marcello Mastroianni; „Nuda" reżyserii Damiano Damiani („Szminka do ust", „Najemny morderca"), w roli gł. Catherine Spaak; „Pogarda" reżyserii Jean-Luc Godarda z Brigitte Bardot. Dwa ostatnie filmy oparte są na głośnych powieściach Moravii. Obaj producenci oznajmili również iż w żadnym razie nie można mówić o kryzysie kinematografii włoskiej. Znajduje się ona bowiem w stanie pełnego rozkwitu, odnosząc wielkie sukcesy natury artystycznej i komercjalnej.

▲ Cenzura gaullistowska szaleje. Jej ofiarą padł ostatnio znany dokumentalista, twórca filmu o męczeństwie Żydów w Polsce pt. „Czas getta" — Frederic Rossif. Rossif był jak wiadomo autorem głośnego wywiadu telewizyjnego z Chruszczowem, wywiadu, który niestety został we Francji zakazany przez cenzurę „ze względów politycznych". Z tych samych względów po znacznym zresztą okrojeniu odłożono datę premiery najnowszego filmu Rossifa „Umrzeć w Madrycie". Jest to film poświęcony wojnie domowej w Hiszpanii, film oparty na zdjęciach kronikalnych i materiałach archiwalnych. Reżyser nie ukrywa bynajmniej swej sympatii dla wojsk republikańskich, ani nie szczędzi gorzkiej prawdy o „walecznej" armii gen. Franco i jej „bohaterskich" wyczynach. Cenzura wycięła m. in. „obiecującą" zapowiedź gen. Franco „Jeśli to będzie konieczne, każę rozstrzelać połowę ludności Hiszpanii". Ale same cięcia nie wystarczyły w dobie „zacieśniania więzów przyjaźni" między Paryżem i Madrytem. Ambasador hiszpański wystąpił z prośbą o odroczenie terminu przyznania filmowi wizy cenzuralnej. Prośba ta została rozpatrzona pozytywnie. Data premiery została odroczona. Na jak długo? — zapytuje francuska prasa. Jak długo jeszcze los francuskich dzieł sztuki zależeć będzie od ambasadorów różnych państw?

▲ Gregory Peck, który ostatnimi czasy stał się jedną z czołowych męskich gwiazd Hollywoodu wystąpi w nowym filmie znakomitego amerykańskiego reżysera Freda Zinnemanna („W samo południe") pt. „Zabicie myszy w niedzielę". Film oparty jest na powieści Emerica Pressburgera i według oświadczenia reżysera ma być „filmem o potężnej dawce sensacji i napięcia". Peck będzie prawdopodobnie reprezentował kinematografię amerykańską na festiwalu w Cannes, gdzie będzie również można podziwiać jego znakomitą ponoć kreację w filmie „Kiedy umiera słowik".

▲ Ameryka, a raczej mówiąc piękniejsza połowa ludności USA ma nowe bóstwo. Jest nim młody, bardzo przystojny aktor pochodzenia greckiego George Chakiris. Chakiris zadebiutował w głośnym filmie „Opowieść Zachodniej Dzielnicy" i z miejsca zdobył sobie ogromną popularność. W krótkim okresie czasu zdołał wystąpić w kilku filmach i jak dotąd jest dosłownie zasypywany ofertami.

▲ Po sukcesie międzynarodowym filmu „Najdłuższy tydzień" Daryl Zanuck zamierza powierzyć J. Mankiewiczowi twórcy „Kleopatry" realizację filmu „Ostatnie godziny Berlina". Natomiast świetny reżyser włoski Visconti przy współpracy literackiej — obu Mauriaków zamierza przenieść na ekran „Miłość Swanna" Marcela Prousta. W roli głównej wystąpi Peter O'Tode — bohater słynnego filmu Leana „Lawrence z Arabii".

▲ Znany włoski reżyser filmowy Mario Monicelli („Wielka wojna") rozpoczął zdjęcia do swego nowego filmu pt. „Towarzysze". Akcja filmu zaczyna się w r. 1897. Tematem jego są początki ruchu robotniczego we Włoszech i dzieje pierwszych wielkich strajków turyńskich tkaczy. Podobnie jak w „Wielkiej wojnie" Monicelli zamierza w „Towarzyszach" dać świadectwo prawdzie o jednym z epizodów historii swego kraju. I podobnie jak w „Wielkiej wojnie" chce wydarzenia dramatyczne opowiedzieć w sposób pozornie komiczny „Albowiem poprzez śmiech można zobaczyć więcej i lepiej". Film będzie jednocześnie, zgodnie z założeniami twórców żywym głosem w dyskusji nad aktualną sytuacją ruchu robotniczego we Włoszech, nad drogami jego rozwoju i środkami walki. Scenarzyści Age i Scarpelli zebrali bogatą i szczegółową dokumentację, powołując do współpracy m. in. ekspertów z Włoskiej Konfederacji Pracy. W filmie wystąpi czołówka włoskiego i francuskiego aktorstwa filmowego Marcello Mastroianni, Renato Salvatori, Annie Girardot, Bernard Blier, Francois Periez, Folco Lulli.

TERESA GAJDEROWICZ

ZA I PRZECIW DUBBINGU (I)

Kwestia powszechnego stosowania dubbingu w praktyce stała się faktem dokonanym, lecz do tej pory i prawdopodobnie długo jeszcze będzie należała do tzw. tematów wstydliwych, których albo się nie porusza wcale, albo — jeśli już dojdzie do tego, wybucha gwałtowna wymiana poglądów, świadcząca o chęci zadośćuczynienia za okres milczenia. Problem dubbingu bowiem w jego aspekcie artystycznym pozostaje nadal otwarty. Swojego czasu głos w tej sprawie zabierali Czesław Michalski i Jerzy Płażewski („Widnokręgi" nr 1 r. 1962), których argumenty i kontrargumenty wskazują na istotę sporu: dubbingować czy nie dubbingować i na czym polega ewentualna szkodliwość dubbingu wobec tkanki artystycznej obrazu filmowego. Argumenty zwolenników metody udźwiękowienia filmów obcojęzycznych sprowadzić można do następujących punktów:

a) dubbing w stosunku do napisów jest znacznym postępem pozwala bowiem „w pełni doprowadzić film do odbiorcy"

b) dubbing w stosunku do napisów jest mniej więcej tym samym, co pełny przekład utworu literackiego do tzw. „bryka".

c) dubbing zwalnia widza od wysiłku związanego z koniecznością szybkiego odczytywania napisu w zbyt krótkim czasie, umożliwia swobodną obserwację gry aktorskiej, co pozwala widzowi na pełniejszą percepcję istoty konfliktu;

d) za dubbingiem przemawia wreszcie popularność tej metody za granicą, gdzie 90 proc. filmów opracowuje się w ten sposób.

Istotą opozycji, reprezentowanej przez J. Płażewskiego, jest zarzut pod adresem dubbingu — jako metody nieartystycznej, że jest on w stanie zniszczyć walory estetyczne filmu. Argument drugi — natury ekonomicznej — to koszty dwunastokrotnie przekraczające koszt opracowania napisów. Tak oto do powyższych punktów sprowadza się polemika tycząca interesującego nas tematu. Pragniemy i my przyłączyć do niej swój głos, jako że sprawy filmu nas zawsze interesowały oraz choćby i z powodu, że w naszym mieście istnieje i działa studio dubbingowe.

Powróćmy raz jeszcze do argumentów wysuwanych przez Cz. Michalskiego: czy rzeczywiście dubbing pozwala „w pełni doprowadzić film do odbiorcy"? „Pełna percepcja" obrazu filmowego zakłada właściwą percepcję każdej z warstw składających się na całość artystyczną, tzn. zarówno warstwy plastycznej, muzycznej, jak i literackiej — słowa, które nie jest najważniejszym komponentem całości, czym charakteryzuje się widowisko teatralne, a co najwyżej — może stanowić dominantę wyrazową określonych sekwencji.

Każda z poszczególnych warstw w filmie pełni swoją funkcję semantyczną dysponując właściwym jej zespołem symboli, znaków i sygnałów. Jeśli chodzi o warstwę słowną, to owe środki przekazu znaczeń leżą nie tylko w aspekcie semantycznym znaku słownego, lecz również w jego aspekcie akustycznym, o którym decyduje intonacja głosu, niuanse i subtelności wymowy, często niepowtarzalne i nie do odtworzenia przez innego wybitnego nawet aktora. One właśnie pozwalają wniknąć w istotę demonstrowanego na ekranie konfliktu i stwarzają warunki sprzyjające pełnej percepcji utworu filmowego, jako całości, a o takiej percepcji myślał prawdopodobnie Michalski. Dubbing wprawdzie udostępnia 100 proc. dialogów, ale tyczy to jedynie aspektu semantycznego warstwy słownej, zaprzepaszcza natomiast wszelkie walory akustyczne, decydujące o właściwym zrozumieniu filmu. Niestety, dubbing nie daje możliwości takiego odbioru i chyba nie tylko „artystowskie ciągoty" każą twierdzić, że okrzyk „Mamma mia" wielkiej Anny Magnani, to szalenie ważna rzecz i przekład takiego okrzyku jest zbędny (Cz. Michalski).

Nie bez znaczenia wydają się być kryteria, według których dokonywany jest przekład dubbingowy dialogów filmowych. Dla przypomnienia, kilka uwag o istocie dubbingu. Polega ona na zastępowaniu określonych jednostek, i całych zespołów fonemów innymi przy zachowaniu maksymalnej zgodności ruchów artykulacyjnych narządów mowy (głównie warg) osób mówiących na ekranie z wymową aktora podkładającego swój głos. Całkowita synchronizacja ruchów warg nie jest praktycznie ani teoretycznie możliwa, chodzi jedynie o uzyskanie maksimum efektu takiej zgodności. Drugie miejsce, niestety, musi zająć kwestia właściwego przekładu literackiego, który, jak wiadomo, polega nie na dosłownym tłumaczeniu zdania słowo po słowie, lecz na adekwatnym oddaniu ich znaczenia. Tłumacz literatury napotyka czasami na niesłychane trudności nie tylko natury językowej (fleksyjnej, składniowej) lecz i na trudności wynikające z różnic kulturowych, na które składają się wiekowe tradycje społeczeństw, różnic wynikających z czynników etnograficznych, ekonomicznych itp. Wszystkie one warunkują rozwój języka, który jest istotnym elementem bytu każdej społeczności ludzkiej. Wobec jakiego problemu stanąłby tłumacz usiłujący przełożyć np. na język Eskimosów passus znanej modlitwy o chlebie powszednim, skoro dla owej grupy społecznej takim chlebem jest mięso upolowanej zwierzyny? Jest to przykład dość krańcowy, lecz wystarczy wspomnieć o kłopotach, które sprawiają idiomy, w zasadzie nie dające się przełożyć na język obcy, a które co najwyżej można zastąpić idiomami bliskoznacznymi. W obrębie utworu literackiego sprawa jest o tyle uproszczona, że nie ogranicza swobody przekładowcy ścisłymi rygorami, jeśli chodzi o zdolności metryczne określonych fraz zdaniowych (mam na myśli głównie prozę, gdyż w poezji problem ten pojawia się również). Angielski zwrot grzecznościowy „How do you do?" zastępuje się naszym „Dzień dobry" bez szkody dla tekstu oryginalnego, i dla przekładu, mimo że ich właściwe znaczenia są dość odległe. Inaczej ma się rzecz z dubbingiem. Tu trzeba przede wszystkim zdanie „przykroić" w taki sposób, by ilości sylab w tekstach obcym i polskim były jednakowe, a ponadto należy zsynchronizować ruchy artykulacyjne warg.

Należy jeszcze zdać sobie sprawę z funkcji estetycznej, jaką dubbing pełni wobec obrazu filmowego, a mianowicie: czy jest on metodą artystyczną, czy też nie i dlaczego? O tym jednak w następnym numerze,

Anna Helm — nowa gwiazda kinematografii

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

Co nowego w WFO

Największy w Łodzi producent filmów krótkometrażowych — Wytwórnia Filmów Oświatowych zrealizuje w bieżącym roku niebagatelną liczbę przeszło 100 filmów. Z filmów będących obecnie w produkcji w WFO warto wymienić barwny film o Collegium Maius w Krakowie. Film będzie tematycznie związany ze zbliżającymi się obchodami 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Reżyserem i operatorem tego filmu jest Zbigniew Bochenek.

Reż. Jarosław Brzozowski, twórca nagrodzonego ostatnio przez UNESCO filmu „W Zatoce Białych Niedźwiedzi" przygotowuje „TRYPTYK O POLSCE". „TRZY NURTY RZEŹBY WSPÓŁCZESNEJ" — to tytuł filmu w reżyserii Konstantego Gordona, który przedstawi najbardziej ciekawe prace czołowych naszych rzeźbiarzy współczesnych. Reż. Stanisław Grabowski, twórca tysięcznego filmu WFO — „Cztery oblicza Mazowsza" po ukończeniu filmu „FLISACY" przygotowuje reportaż filmowy o czołowej inwestycji przemysłowej naszego województwa — Cementowni w Działoszynie. Autor „Cmentarza Remu" reż. Edward Etler realizuje w Zakopanem wg własnego scenariusza impresję filmową zatytułowaną „BIAŁY WAŁC". Bardzo ciekawym reportażem będzie barwny film o pierwszym w Polsce urządzeniu do ciągłego wytopu stali, które zostało w styczniu uruchomione w Hucie „Jedność". Film realizuje reż. Radosław Sobecki. W serii reportaży o miastach, na ukończeniu jest barwny film reż. Aleksandry Jaskólskiej „OPOLE". Reż. Kazimierz Mucha realizuje ciekawą impresję filmową na temat rzeźb w muzeum noszącą tytuł „PORTRETY". Z dziedziny sztuki ciekawym filmem jest będący na ukończeniu reportaż z wystawy malarstwa Van Gogha, która była w roku ubiegłym w Muzeum Narodowym w Warszawie. Realizatorem tego filmu jest Wasyl Mirczew.

Nowe filmy biologiczne realizuje znany twórca tego gatunku filmu krótkometrażowego reż. Karol Marczak. Niewątpliwie ciekawymi i aktualnymi pozycjami WFO będą filmy z dziedziny medycyny, które realizują reż. Jerzy Popiel-Popiołek, reż. Józef Arkusz. Zapotrzebowanie na film-plakat z dziedziny oświaty sanitarnej wypełni w pewnym stopniu realizowany film o potrzebie higieny osobistej w reżyserii Wandy Rolliny. Przy współpracy znanych radiowców — Tadeusza Bocheńskiego i Macieja Kwiatkowskiego reż. Leszek Skrzydło realizuje reportaż z Centralnej Rozgłośni Polskiego Radia. Ten sam reżyser przystąpi niedługo do realizacji filmu o architekturze szkół Tysiąclecia. W dalszym ciągu WFO będzie wydawała periodyki filmowe: „Było nie było", którego realizatorami są Wojciech Fiwek i Leszek Skrzydło, a także wieloletni periodyk „Czy wiecie, że..." który mimo kryzysu jaki przechodzi w ostatnim okresie nadal będzie realizowany w roku bieżącym.

A. N.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Nad (II) pięknym modrym Dunajem

LUDZIE

Mieszkam w bogatej dzielnicy willi i mieszczańskich pałacyków pół godziny tramwajem od City, dzielnicy, którą wiedeńczyk nazywa z dumą i czcią „miastem". Od zachodu, w oknie szerokiej ulicy, „Wiedeński Las", nie wiem dlaczego nazywany u nas laskiem. Okala stolicę pasmem starych drzew. Jest teraz w śniegu, z dala migają sylwetki narciarzy, ale ten las jakoś stale i nieodmiennie kojarzy mi się ze straussowskim walcem o takim tytule. W przeciwnej stronie leży wspaniały Schoenbrunn, letnia rezydencja cesarska. Hm... Nawet w tej dzielnicy zamożnej bourgeois z „Mercedesami" nie mogą się uwolnić od ciśnienia, obecności historii i wydostać się w teraźniejszość. Właściciel zajazdu w gogołowskim „Rewizorze" zapewniał gości, że nie on wymyślił pluskwy, ja doprawdy nic nie poradzę, że mnie to wszystko uciska i zawraca. Spróbujmy jednak.

Język. Jak wiadomo, niemiecki. Wystarczy trochę znajomości niemczyzny, aby się zorientować, że brzmi on tu inaczej, niż za Odrą. Bardziej miękko i śpiewnie. Jest to, oczywiście, dialekt, chociaż znawcy twierdzą, że nie ma wiedeńskiego dialektu, a jest ich tyle, ile klas, warstw społecznych, zawodów, dzielnic i... mieszkańców. Podobno urodzony wiedeńczyk potrafi rozpoznać po akcencie i słownictwie swego rozmówcy, z kim ma przyjemność, co ten facet robi, gdzie mieszka lub skąd, z jakiej dzielnicy pochodzi, jakie ma wykształcenie, ile zarabia, a nawet na jaką partię oddał głos w ostatnich wyborach. Czytałem list gończy policji; jako znaki szczególne delikwenta podano, że mówi poprawną niemczyzną... Poza cudzoziemcami, poprawną niemczyzną posługują się aktorzy (nie wszyscy w to zresztą wierzą), ludzie z wyższym wykształceniem (ale nie śmietanka towarzyska) i — hochsztaplerzy. I oto pierwsza cecha charakterystyczna Wiednia, w tym przejawia się jego odrębność, temperament, inteligencja.

Stoję dość bezradny na skrzyżowaniu ulic, podchodzę do policjanta, regulującego ruch, tzw. „białej myszki" (to od tego, że wieczorem narzucają białe kitle). Naturalnie zwracam się per „Herr Inspekteur" — służba ruchu wyłącznie w tej randze — nie bardzo rozumiem, mówi przecież dialektem. Schodzę na chodnik i tutaj otrzymuję wyczerpującą informację od zażywnego, bardzo sympatycznego pana. Podaje mi cztery warianty trasy, bo widzi pan, mein Freund, jak pan pójdzie tędy, to można zobaczyć pyszny pałacyk ks. Eugeniusza, ta droga, o, prosto jak strzelił, objaśnia z werwą, jest oclupinkę dłuższa, ale pod nr 35 „Heurigera" podaje fantastyczny kociak (po wiedeńsku — „fesche Kotz"), właściwie może pan iść i tędy, jest najbliżej, ale co pan zobaczy? Klepie mnie kordialnie po ramieniu, pokazując figę. Otóż to, uprzejmość, jakaś wprost przyrodzona dyspozycja do świadczenia drobnych usług z dyskretnym uśmieszkiem zadowolenia. Należy to prawdopodobnie do savoir-vivre'u wiedeńczyka, stanowi jego wizytówkę. Nie robi się tego bynajmniej na pokaz, na wynos, z racji pełnienia takich czy innych zawodowych czynności. Kiedy kierowca ciężarówki w trzaskający mróz zawraca do swego wozu po plan miasta, by odszukać „zagubioną" przez ciebie ulicę, a bileter w teatrze, spostrzegając (otóż to!), że nie masz zapałek, podaje ogień, to coś znaczy. Grzeczność na co dzień, serwowana przez wszystkich, świadczy niewątpliwie o kulturze i wydaje mi się, że w edycji wiedeńskiej jest jednocześnie wytworem starego obyczaju, głęboko zakorzenionego stylu życia, który tak bardzo przypomina ceremoniał dworski. Coś zatem z tej tradycji pozostało, może nawet wiele. Np. celebrowanie tytułów. Nie wydziwiajmy jednak, proszę państwa! Skoromania tytułowania przetrwała w Krakowie, na terenach dawnej Galicji, to, na Boga Ojca, nie żądajmy, aby zaginęła w niegdysiejszej „centrali". Więc wszelakie tytuły są aktualne, nawet radcy dworu... Cześć dla godności, stanowiska, tytułu jest we krwi. Np. nie przypominam sobie, aby u nas publiczność, przybyła na odczyt uniwersyteckiego profesora, witała jego wejście na salę powstaniem z miejsc. Znalazłem się niedawno w prawdziwym potrzasku, kiedy nie wiedziałem, jak się odwzajemnić w „sensie tytularnym" mojemu sympatycznemu rozmówcy, dyplomowanemu kupcowi z zawodu. Poradzono mi zwracać się per „Herr Diplomkaufmann". Przypuszczam, że okazałem się w końcu dobrze wychowanym cudzoziemcem. Aby zyskać to miano, należy nieprzerwanie mówić: „bitte" i „danke", tak przynajmniej radzą informatory dla zagranicznika. Oczywiście, najmilej łechce ucho przydatek doktor, co odpowiada tytułowi naszego magistra (mgr to tylko farmaceuta). Doktor, Herr Doctor, jakiż upojny dźwięk, jak błogo duszę drażni. Szczególny pietyzm dla tego tytułu — ubiegają się o tę godność ludzie w podeszłym wieku — posiada tu głębszą wymowę, społeczno-towarzyskie znaczenie. Wyjaśnił mi to znajomy: widzi pan, by coś znaczyć, trzeba mieć tzw. pozycję. Daje ją forsa lub tytuł. Kto nie ma pieniędzy, musi być doktorem. Tertium non datur. O dziwo, nawet ci z forsą tęsknią żarliwie za jakimś na poły irracjonalnym uświetnieniem swego nazwiska: od czasu do czasu rozmaite świeckie zakony ogłaszają werbunek nowych członków, poszukując kawalerów z industrii i handlu. Przyjemnie pomyśleć, że w starej Europie przywiązuje się nadal wielką wagę do splendorów tak ułudnych i nierentownych. A w Europie chyba jedyny Wiedeń najgorliwiej strzeże i ochrania blask takich pozorów. Doprawdy, przeurocze miasto, które w zawrotnym tempie współczesnej cywilizacji nie zagubiło nic z dawnych przyzwyczajeń i form. Może dlatego, że żyje się tu, jak powiedział kiedyś Grillparzer, w połowie poezją. Wymaga to czasu i wyobraźni. Jest w tym kulcie „swobodnego oddechu", rozluźnienia mięśni, jakiś rdzeń horacjańskiej zasady delektowania się życiem, które zawiera przecież tyle przeróżnych przysmaków. Przyznają się do tego sami wiedeńczycy, oto co mówią o sobie: „O czym musi bezwzględnie wiedzieć każdy wiedeńczyk? Gdzie dają najlepsze wino. A co uważa za śmiertelny grzech? Rzeczową dyskusję, pożyteczną książkę, picie wody, kiepski obiad i ekonomię. Wszystko się samo zrobi, kiedy nic się nie będzie robić".

Oczywiście, ta samokrytyka jest przesadna i przewrotna, zaprawiona ironią, lecz nie wypadałoby przecież pisać inaczej o sobie. To nie uchodzi! Wiedeńczyk jest kapryśny i przekorny, lubi narzekać, wymyślać, psioczyć na komunikację, urzędy i partie polityczne, niechętnie jednak wysłuchuje podobne uwagi od cudzoziemców. Zawsze odnajdzie coś miłego, pogodnego. „Panie — rozmawia dwóch facetów w tramwaju — życie to męczarnia". „To prawda". „Ale czasem to prawdziwa przyjemność". „To też prawda". Więc szczególnie ochoczo obchodzi się tutaj święta i nie ma większej radości dla wiedeńczyka jak wolny dzień od pracy czy urlop. Z wielką pompą i paradą organizuje zabawy i bale, w tej mierze wyróżnia się inicjatywą i polotem. Teraz, w karnawale, szał zabaw. Afisze ogłaszały już bal (16 z kolei) miejskiej straży, zakładów komunikacyjnych, ogrodników, tapicerów, kucharzy, pocztowców, obywateli poszczególnych dzielnic (w mojej dzielnicy były już trzy), filharmoników, urzędników policji kryminalnej itd. Na drzwiach kościoła św. Trójcy widziałem zaproszenie na bal parafialny, wreszcie 21 lutego odbędzie się najwspanialszy — bal w operze. Wystarczą dwa szczegóły: cena wstępu ok. 800 szyl., sala ma być udekorowana 14.000 goździków, które przywiezie specjalny samolot z Włoch.

No tak, życie byłoby piękne, gdyby było... Fantazję i dowcip podcina i koryguje szara, przyziemna, daleka od sielanki egzystencja. Miesięczny, niezbyt wysoki budżet urzędnika czy robotnika zmusza ich do liczenia się z rzeczywistością, w czym pomaga nawyk oszczędzania. Aby kupić pralkę, telewizor czy samochód trzeba wyrzec się niejednej przyjemnostki, ostro eliminować zachcianki, redukować na pozór niezbędne wydatki. Byłem zaskoczony, widząc wieczorem, również w śródmieściu, jakby wymarłe czarne plamy okien. Siedzi się w jednym pokoju lub w kuchni, prąd jest drogi. Tegoroczna zima srodze nadszarpnęła kieszenie, za węgiel, który sprowadzają z Polski, płaci się sporo. Podobnie z komunikacją, która pochłania znaczne kwoty. Za przejazd tramwajem — można wprawdzie przesiadać się cztery razy — płaci się tyle, co za pudełko portugalskich sardynek (tak, tak). Stąd też różne organizacje i stowarzyszenia pomagają, przede wszystkim młodym małżeństwom, w zakresie dobrego gospodarowania. Czy tam właśnie o takiej akcji społecznej, inspirowanej przez kasę oszczędności, polegającej na przeglądzie cen w 24 dzielnicach. Wysłane na zwiad przedstawicielki stwierdziły, że rozpiętość cen jest znaczna, waha się w granicach 30 proc. więcej, dotyczy to szczególnie cen warzyw i mięsa. Wniosek — można zaoszczędzić 10—15% jeśli będzie się przestrzegało następujących reguł: 1) zdecydowanie pytać o cenę, 2) w wypadku wygórowanej ceny nie wstydzić się wyjść ze sklepu, 3) większych zakupów dokonywać na rynku, 4) kupować z kartką w ręku, n i c ponad to. Ludność uboższa chętnie zaopatruje się w sklepach tzw. Konsumu, gdzie ceny są znacznie niższe, a co roku otrzymuje się zwrot w wysokości 3 proc. ogólnej wartości zakupów.

Pozostawmy sklepy. Jest dziś zresztą sobota, popołudnie, i za żadną walutę nic nie kupisz w tym półtoramilionowym mieście! Wiedeńczyk rozpoczyna wypoczynek, nie wolno mu przeszkadzać. Sznury samochodów płyną za miasto, zapełniają się kawiarnie i espresso — tu przeważnie młodzież — kina, teatry, sale odczytowe. Co ciekawsze, wszędzie, w czołowych teatrach i w operze, na imprezach literackich i w drogich lokalach — przeważają zdecydowanie — starcy. Miasto — muzeum, miasto starych ludzi, zdaje się, że całe życie kulturalne opiera się na tym pokoleniu, ono jest wszędobylskie, niesamowicie aktywne, prężne, jakby jeszcze nienasycone kulturą. I ono, co najważniejsze, decyduje o smaku, o powodzeniu, jest poważną siłą kształtującą. Czy tak jest w istocie, dlaczego teatr staroświecki, nowoczesna muzyka i malarstwo gdzieś na uboczu, w piwniczkach, w pracowniach? Czy aby się nie mylę? Swoje wrażenia sprawdzam w statystyce. W 1961 roku 12 proc. całej ludności Austrii przekroczyło 65 rok życia, w samym Wiedniu mieszka 310.627 ludzi w tym wieku! 25 proc. zatem!! W okresie przedwyborczym pisano, że ta partia odniesie sukces, która w swoim programie politycznym obiecuje popierać interesy tego pokolenia, m. in. sprawę podwyżki rent i emerytur.

Tak sobie rozmyślam, może kultura powstaje przez konserwowanie martwych i żywych wartości, w procesie ścierania się i przenikania różnorakich elementów? Tutaj dokonuje się to zgoła w klinicznej postaci. No cóż, Wiedeń, jak w tej starej piosence (ciągle ten sam przymiotnik!) pozostanie Wiedniem. Wien bleibt Wien. I trzeba go kochać, czy przynajmniej podziwiać, takim jaki jest, bo też naprawdę, proszę państwa, „da się lubić". Posłuchajmy jeszcze tej rozmowy dwóch wiedeńczyków:

W tym Wiedniu, panie kochany, to nie można wytrzymać.

No to, wyprowadź się pan.

Ba, ale dokąd?

No, za granicę.

Co pan, przecież tam nie można żyć!!

Jubileusz romantyczny

Dnia 28 marca w sali MDK oglądaliśmy spektakl Zespołu Teatralnego Związku Zawodowego Kolejarzy. Wystawiano „Grzeszników bez winy" A. Ostrowskiego. Nie było to jednak zwykłe przedstawienie — poprzedzało ono bowiem uroczystość dekoracji Kawalerskim Krzyżem Odrodzenia Polski Ludowej reżysera, aktora i założyciela tego zespołu p. S t a n i s ł a w a J a s i c y, obchodzącego właśnie czterdziestolecie pracy w amatorskim ruchu artystycznym.

Aktu dekoracji dokonał Zastępca Przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej — Edward Majek. Orkiestra kolejarzy, zgromadzona na balkonie sali teatralnej wtórowała oklaskującej Jubilata publiczności...

Pana Stanisława Jasicę — radcę PKP Łódź Fabryczna — nieuleczalnie „zaraził" teatr. W gimnazjum we Lwowie, na Uniwersytecie krakowskim czynnie uczestniczy w życiu amatorskich kółek dramatycznych. Potem, gdziekolwiek go losy zawiodą, nie może żyć bez teatru. Swoją namiętnością zaraża innych. Jego otoczenie m u s i, czasem nie wiedząc kiedy, stać się gorliwym wyznawcą Melpomeny.

W 1948 roku pan Stanisław zakłada Zespół Teatralny przy ZZK w Łodzi. Po piętnastu latach wciąż żywej jego działalności, należy z całą pewnością stwierdzić, że niewiele jest w Polsce równie ambitnych, upartych i stojących na tak wysokim poziomie zespołów amatorskich. Przez czterdzieści lat, pan Jasica, członek Prezydium i Skarbnik Zarządu Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich, nie zdradził swojej muzy. Mimo wielu trudności, mimo absorbującej pracy zawodowej, mimo i wbrew wszelkim przeciwnościom, gorąco miłuje i uczy innych miłować teatr.

(H. K.)

JAN HUSZCZA

Z małego notesu

INERCJA

— „Będziesz na odczycie prof. Wyrąbka z Warszawy: „Perspektywy ludzkości w roku 2.000"?

— Niestety, nie mam czasu.

— A co robisz?

— Umówiłem się na brydża w „Klubie Dziennikarzy"... Będą sympatyczni partnerzy. Brakuje nam jeszcze tylko czwartego.

Ja (po chwili wahania): — To także mogę przyjść!

— Świetnie.

ROZMOWA Z IMAGINACJI

— Musisz jednak przyznać, że co jak co, ale sympozjony, narady czy zjazdy organizujemy chętnie i umiejętnie!

— Że chętnie, to prawda. Ale czy umiejętnie? Posłuchaj: gdy już prawie pięciuset delegatów przybyło do stolicy, zjazd odroczono o jeden dzień; w ostatniej chwili zmieniono adresy hoteli z zamówionymi pokojami dla gości; stołówki wyznaczono w innej dzielnicy, niż ta, na terenie której znajdowała się sala zjazdowa; dwukrotnie przetasowywano porządek obrad; delegacie służbowe podstemplowywała tylko jedna; w dodatku dosyć niemrawa, panienka przed wejściem na salę obrad, pieniądze zaś wypłacano w biurze organizatorów zjazdu; jeden z prelegentów, a pochodził z Krakowa, zapomniał w domu swego referatu; musiano więc przedłużyć zjazd o jeden dzień; na skutek czego hotele wymówiły noclegi niektórym delegatom...

— Dosyć, dosyć, przecież to skandaliczne! Powiedz wreszcie, do jasnej cholery, cóż to był za zjazd?

— Ogólnokrajowy zjazd, poświęcony wybranym zagadnieniom operatywności i organizacji...

PODSŁUCHANE

Obywatel przed okienkiem pocztowym:

— Poproszę o pięć kart!

— Ale mamy tylko ozdobne. Po 60 groszy.

Obywatel, wzdychając:

— Nie ma rady, niech będą ozdobne... Zamiast kaszanki proponują kiełbasę krakowską... Zamiast lemoniady napój firmowy... Zamiast skromnych regałów szafy biblioteczne... Dobrze, że jeszcze w tramwajach dają zwyczajne, a nie ozdobne bilety!!!

KAPRYSY POPULARNOŚCI

Niedawno znalazłem się w pewnej świetlicy jednego z naszych uroczych miasteczek, aby wygłosić pogadankę o książkach. Chciałem m. in. polecić do przeczytania kilka pozycji, opowiadających o życiu i dziele zasłużonych dla kultury i cywilizacji ludzi. Zacząłem od pytania, czy słuchacze znają nazwisko Stanisława Królaka? Okazało się, że nazwisko kolarza znali wszyscy obecni w wieku od lat 16 do 60. Następnie zapytałem o Aleksandra Fleminga, podając to nazwisko tak, jak się wymawia i tak, jak się je pisze. Na sali zapanowało takie milczenie, jakbym wzywał do dobrowolnych składek na skuter dla mojego wuja. Dopiero, gdy padło słowo „pepicylina" okazało się, iż niejedna i niejeden z obecnych to i owo jej zawdzięczali.

MOJE PODZIĘKOWANIE

Konkursy, nekrologi, ankiety i podziękowania — oto dość charakterystyczne przejawy naszego burzliwego życia. Dozorca, który codziennie zamiata ulicę przed powierzonym swojej pieczy domem, co jakiś czas otrzymuje złotą odznakę albo i nagrodę w postaci wiecznego pióra lub dwutygodniowych wczasów w „Orbisie"; raczkujący literat, który napisał dwa bezkształtne wierszyki, natychmiast staje się laureatem jakiegoś festiwalu poetyckiego. Rozmowa na jakiś zlekka określony temat z pięcioma znajomymi osobami upoważnia do ogłoszenia jej przebiegu w prasie i do wyciągnięcia z niej daleko idących wniosków ogólnych w obszernym artykule. Sprzedawca, który między płatki szynki nie włożył płatków boczku albo szofer komunikacji miejskiej, który j e d n a k zatrzymał autobus na przystanku, gdy na oczekujących spadał ulewny deszcz — nazajutrz czytają o sobie długie, nasycone wzruszeniem i entuzjazmem, wzmianki.

Nie chcę w gorszący sposób odbiegać od ustalonych zwyczajów, także pragnę wypowiedzieć swoją niekłamaną wdzięczność:

Składam na tym miejscu serdeczne podziękowanie dwóm młodym obywatelom w stębnowanych wiatrówkach, którzy wieczorem w ub. piątek szli chodnikiem przez opustoszały już park i nie tylko mnie, z szacunkiem i w pewnej odległości ich wyminiającego, nie pobili, ale nawet nie obrzucili wyzwiskami...

informacje i zaczepki

W Klonowcu (pow. kutnowski) buduje się Dom Kultury. Obiekt będzie kosztował 750 tysięcy złotych, z czego tylko 250 tysięcy wydatkuje kasa państwowa. Mieszkańcy Klonowca dali materiały budowlane i robociznę na sumę pół miliona złotych.

●

Nie bardzo udały się kawały primaaprilisowe w łódzkiej prasie. Jedne miały metrowe brody („Urodziny pięcioraczków"), inne nie grzeszyły dowcipem („Zakaz chodzenia w spodniach"), tylko „Express" zrobił ładny dowcip o otwarciu „Balatonu". Rozumiemy, że trudno wciąż wymyślać coś nowego, ale można przecież korzystać z dobrych tradycji w tej dziedzinie. Wskażę je za dobre słowo — „Nowe wiadomości literackie" z 1936 roku, „Przegląd przedwieczorny", „Kurier Polski", „Pracowita pszczółka" z lat dwudziestych.

●

W związku z Międzynarodowym Dniem Teatru honorowe Odznaki m. Łodzi otrzymało 16 aktorów, pracowników teatru i działaczy kultury.

●

Dziś Łódź liczy sobie około 16 tysięcy studentów. Do roku 1980 zaplanowano wzrost liczby studiujących o 177 proc., czyli za lat siedemnaście powinniśmy mieć w naszym mieście ponad 26 tysięcy młodzieży akademickiej!

●

Naszym czytelnikom polecamy otwartą niedawno w Bibliotece Uniwersyteckiej wystawę pod nazwą „Polska prasa komunistyczna w latach trzydziestych". W otwarciu ekspozycji wziął udział członek Biura Politycznego KC PZPR tow. Zenon Kliszko — przed trzydziestu laty redaktor naczelny komunistycznego czasopisma „Kronika" wychodzącego w Łodzi.

J. W.

KRYSTYNA WOJTASIK

TEATR ale JAKI?

Trzeba przyznać, że dyrekcja Teatru Powszechnego potrafi być konsekwentna, zwłaszcza w bieżącym sezonie. Żadnych tam ekstraordynaryjnych ciągotek do tzw. nowoczesności, zwłaszcza natury formalnej, nie uwidzisz, jak również żeglowania w kierunku poezji czy wielkich nazwisk, które bądź co bądź zasłużyły sobie na to, by je wielkimi nazywać. Dyrekcja do swego repertuaru dobiera tytuły sztuk będących albo komediami obyczajowymi albo obyczajowymi melodramatami (wzmożone predyspozycje do tych ostatnich), a w większości odznaczających się tym, że spełniają one postulaty pewnego łódzkiego recenzenta jednej z naszych gazet codziennych. Ów recenzent, zasłużony niewątpliwie na niewdzięcznej niwie swej profesji, którą jednak we właściwy tylko sobie sposób wdzięczną uczynić potrafi, propaguje z uporem ideę tzw. sprofilowania łódzkich teatrów. Teatrowi Powszechnemu przydzielił właśnie profil „powszechnego", co w jego rozumieniu oznacza, że teatr ten winien wystawiać sztuki wyłącznie „łatwe" czyli dostępne swej szerokiej widowni i nie sprawiające jej większego kłopotu z ich percepcją, traktujące o tzw. codzienności, zawierające trochę elementów obyczajowych, trochę psychologii, trochę sexu, coś do śmiechu i coś do płaczu, czyli stanowiące tzw. godziwą rozrywkę (mniej godziwą rozrywkę przydzielił recenzent Teatrowi 7.15). A jak wiadomo, prasa to potęga, więc i jej można przyznać część udziału w założeniach programowych Teatru Powszechnego, które jednak ośmielę się nazwać minimalistycznymi, gdyż można je ująć w formę hasła: Mały repertuar dla małych ludzi (oczywiście w sensie wyrobienia teatralnego i zasięgu zainteresowań), a ma on jeszcze tę zaletę, że nie ma nic wspólnego z naszą wadą narodową czyli ryzykanctwem (przynajmniej pozornie), jako że idealnie pasuje do gustów i guścików lwiej części publiczności.

Zgodnie więc z owym minimalistycznym programem, po „Idiotce", „Miłości i neutronach" „Klubie Pickwicka" przyszła kolej na „Wracaj, Kropeczko". Sztuka ta dotyka problemów i problemików interesujących po trochu wszystkich a zwłaszcza kobiety, i dlatego przede wszystkim będzie się podobać kobietom, a w szczególności tym, które mają mężów lub sąsiadów alkoholików

Na przykładzie tego spektaklu można dowieść, że pokazywanie przeciętnej rzeczywistości przeciętnego człowieka takiemu samemu przeciętnemu człowiekowi do niczego nie prowadzi i nie jest do strawienia dla jako tako wyrobionego widza. Tę rolę teatru przejęły już dzisiaj film i telewizja, gdyż dzięki swym możliwościom technicznym w odtwarzaniu realistycznej warstwy rzeczywistości zyskały nad nim niezaprzeczoną wyższość. I dlatego rola teatru jest inna, znacznie trudniejsza i bardziej ważka. Chodzi o to, by teatr ukazywał nam we wstrząsającym skrócie istotę naszego życia, jego przerażającą i wspaniałą głębię, aby zawierał jakiś ponadczasowy pierwiastek wielkości, niezależnie od tego czy będzie to wielka namiętność czy niezłomność moralnej postawy, zwycięstwo lub klęska, tragedia czy groteska. Chodzi właśnie, powtarzam, o ten ponadczasowy pierwiastek wielkości wydobywany z samego dna ludzkiej duszy.

Wypada jeszcze rzec słówko o aktorach spektaklu.

Niewątpliwie na pierwszy plan, nie tylko dzięki rozmiarom roli, ale i ze względu na umiejętności aktorskie, szczerość wyrazu i od ważną prostotę środków graniczącą chwilami z zupełną abnegacją, z całkowitym pozbawieniem się wszelkich walorów kobiecości — wysunęła się Władysława Skwarska jako nieszczęśliwa żona alkoholika. W roli tego ostatniego, Czesław Przybyła wykazał, że stać go na dostosowanie się do zupełnie nowego dla siebie rodzaju postaci. Wydobył z niej wiele ciepła i konsekwentnie skontrastował łagodność i pozorny spokój „wyleczonego" z brutalnością i zbrodniczymi instynktami „chorego". Zabrakło mu jednak siły w ukazaniu namiętności i cierpień zakochanego. Alicja Knast była wdzięcznym i miłym, choć nieco bezbarwnym, obiektem uczuć „doktora" oraz dwóch młodych ludzi, którzy, niestety, nie wypadli przekonywająco. Nieco humoru wniósł do tej łzawej, amerykańskiej sztuki niezawodny Władysław Skoczylas jako dziarski rozwoziciel nabiału (jakże i u nas przydałaby się taka instytucja!).

Teatr Powszechny: William Inge „Wracaj Kropeczko", reżyseria: Tadeusz Żuchniewski, scenografia: Bolesław Kamykowski.

BERNARD SZTAJNERT

POECI

Postanowieni z wody
Węgla i żelaza
Powołani dwa razy
Żywi bez pośpiechu
Mówiący zwięźle
Bo kradną nam słowa
A gdzie jest środek początek i koniec
Nikt nas nie pyta o ostatnie słowo
A gdzie jest pierwsze nie pytamy sami
I gdzie nie istniał gdzie nie był na nowo
Duch co unosił się nad wodami.

DZIEJE

Hełmy, które niesiono na bezbronnych głowach
Mieczy tnących milczenie stępiała wymowa
Jeszcze tarcze puklerze nie broniące ciała
Woda groźna dla myśli dla wierności piasek
Maski ciałem pokryte i odarte z masek
Kości z kości wyjęte, rozbite na cienie
Dzieje śmierci przeciwne po ostatnie tchnienie.

UMARLI

Widziałem ich pod brzozą,
Jak idąc nie przechodzą,

I ugięci pod krzyżem,
Odchodzą coraz bliżej.

DRUGIE MIASTO

Drugie miasto, wygięta ze śmiechu ruina
Drugie miasto, daleki bezdrzewny poemat
Liście stoją w powietrzu na wierszu bez rymu
to ja jestem ty jesteś, to uczeń bez szkoły
wiersz bez końca obecny resztkami metafor
to uliczki przypadku małe place trafu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Jest okupacja, rok 1943. Dwaj przyjaciele uciekają z rodzinnego miasta. Grozi im bowiem aresztowanie, jak zresztą wszystkim uczestnikom polskiego ruchu oporu przeciwko faszyzmowi. Jednego z bohaterów, Justyna, czytelnicy znają już. Wiadomo, że mieszka w głębi lasów, w opustoszałym dworze. Uczy tam „potomków starego rodu", romansuje, zaczyna bywać w okolicznych dworach, zdobywa broń i aparat radiowy, zyskuje nowych przyjaciół, aż wreszcie... jednak nie uprzedzajmy wypadków. Cierpliwy czytelnik pozna niebawem perypetie Justyna i — być może — da się przekonać, że nie należy życia brać tak jak ono leci, trzeba wybierać, nieustannie wartościować, trzeba samemu tworzyć własne życie. Czy Justyn słusznie wybiera, czy nie pobłądzi? Czy uda mu się rozwiązać konflikty, które sam spowodował?

●

Zanosiło się na ostrą wymianę zdań, szczęściem pan Mucha uwinął się nad podziw szybko. Nakrył spraw nie stół i nim Konrad zdołał odpowiedzieć, już trzymał w dłoni szklankę wódki.

— Za naszą przyjaźń! — Justynowi przysługiwał pierwszy toast.

Pan Mucha zacierał ręce, jak zawsze, kiedy trafiali się goście, którzy o stół pytali, a nie o pieniądze.

Po trzeciej Justyn doczuwał już wyraźnie gwałtowną potrzebę dorównania przyjaciołom. Wyciągnął z kieszeni rewolwer i położył go na stole.

— Ten zabytek znalazłem w grobowcu protoplasty Wilczków, u niejakiego dziadka Hipolita.

Marek i Konrad słuchali go początkowo z prostej grzeczności, kto funduje ma prawo pleść niestworzone historie, o Hipolicie daleko lepsze opowiastki słyszeli. Ale na widok broni poderwali się. Marek rozładował rewolwer.

— Świetna maszyna, co zamierzasz na przyszłość?

Justyn napełnił szklaneczki, trzeba teraz powoli, po malutku, stopniować uzyskane wrażenie.

— Co zamierzam? Mój Boże, jak każdy Polak zorganizuję jakiś ruch podziemny, jakąś konspirację, propagandę, może na początek ćwiczenia, radio mam, broń się zdobędzie.

Marek jakby spoważniał. Wsuwał naboje w magazynek i bacznie obserwował Justyna.

— A skąd weźmiesz wojsko?

— Mam niejakie doświadczenie, coś wyniosłem z domu, wiecie jak to u nas jest, ojciec, wcześniej dziad i tak w każdym pokoleniu. Mam na razie tylko dwóch Wilczków, ale w Zalesiu chłopów nie brak, zawsze można będzie znaleźć kilku łebskich.

Konrad odsunął talerz.

— Radziłbym ci uważać. Ludzi trzeba dobierać na zasadzie maksymalnej odpowiedniości, to może być poczucie wspólnego celu, upodobań osobistych, kategorii estetycznych, obyczajów, wreszcie jedność sfery towarzyskiej...

Marek nie pozwolił mu dokończyć.

— Czego ty mu mącisz w głowie, no czego? Ty już nigdy nie wyjdziesz poza swoją sferę, a on jej w ogóle nie ma, więc może być wszędzie. Twoją sferę diabli biorą, rozumiesz? Nie będzie Wilczków, Borodiczów i Tyzenhauzów i to nie dlatego, że Rosjanie przeszli już Dźwinę i doją twoje krowy, w Polsce są rozmaite Maćki, Bartki i Wawrzyńce, a może oni ci chętnie pokiwają ręką na pożegnanie? Justynku, nalej po kielichu i nie bój się, ty zostaniesz, jesteś międzyklasowy, pasujesz do pana, chama i urzędasa!

Justyn postanowił olśnić przyjaciół po raz drugi.

— Panowie, spór o charakter wojska nie ma sensu. Przecież ją, nie będę dowodził, jestem zresztą w stałym kontakcie z dowódcą grupy, już on się zajmie żołnierzami.

Marek zachłysnął się wódką.

— Mówmy poważnie, z jakim dowódcą, Justynku?

— Nie przedstawiał mi się, ale grupę ma jak ta lala!

— Może jest siwy, z małym wąsikiem i mówi co kawałek — „panie święty".

— Przeciwnie, nie ma wąsów, jest czarny i mówi co kawałek — „znaczy się".

— Ciekawe, a co ty masz z nim wspólnego?

— Dość dużo, moi drodzy, wykładam w jego szkole podchorążych.

Marek drapał się po głowie.

— Bez wódki nie rozbieriosz, cyk panowie, a gdzie tu jest szkoła dla podchorążych?

— Chcesz się zapisać? — Justyn połknął korniszona.

— Nie, chcę wiedzieć, gdzie ona jest?

— Całkiem niedaleko, Od krzyża powstańczego skręcamy w bagno, drapiemy się na wzgórze, przeskakujemy strumyk i już widać pawilon myśliwski...

— Znasz pseudonim dowódcy?

— Przecież mówiłem wam, że mi się nie przedstawiał, uważam to za zupełnie zrozumiałe podczas okupacji.

Marek wstał.

— No to ja ci powiem, kto to jest. Wykładasz u Żbika Wielkiego, to taki faszystowski watażka i kolaborant. Konradzie, my już, zdaje się, nie mamy czasu, prawda?

Konrad patrzył jakiś czas na Justyna, wreszcie i on wstał.

— Oczywiście, Marku, zupełnie nie mamy czasu, myślę, że siedzieliśmy tu wskutek jakiegoś przykrego nieporozumienia.

Wyszli przez chlewik bez pożegnania.

Jasny gwint! — pomyślał Justyn — zaaklimatyzowałem się.

Napełnił szklaneczkę, gryzł machinalnie kiełbasę i rozmyślał. Kto może wiedzieć, że za bagnami biwakuje akurat faszysta i kolaborant? Przecież z takim samym powodzeniem mógł trafić do Wołgi, też się w tych stronach kręci, a to przecież komunista, tak mówią ludzie. Gdzieś na południu działa podobno jakiś Sosna, ludowiec, wszędzie dookoła kręcą się ludzie majora Skrzetuskiego, akowca, a on jak na złość wdepnął... już lepiej nie mówić w co. Gdzie jest Świtoniak, stary druh szkolny, nazywany przez wszystkich Socjalistą. Uciekali jakiś czas razem. Gdzie szukać mądrego Socjalisty? On by zawrócił Justyna z błędnych dróg, Socjalista nie błądzi, ma jasne, skrystalizowane poglądy. Nie ma jednak Socjalisty, jest tylko samotny Justyn w niedorzecznej knajpie.

Justyn wyplątał się z niewesołych myśli. Madam trzymała ręce złożone jak do modlitwy, jej jasne włosy opadały na czarną suknię. Eloe, anielica, moich marzeń — przypomniał mu się Słowacki. Anhelli a polska myśl patriotyczna, pierwiastki mistyczne w twórczości Słowackiego, jak się ma prawda realna do prawdy romantycznej? Na tym pytaniu załamywali się nawet najbardziej obkuci uczniowie.

— Pojedziesz ze mną do Zalesia? Wracam dziś.

Żachnął się.

— Przecież wiesz, że muszę skończyć program, obiecałem Konradowi. Jakże pojadę, nie wypada tak!

— Dworski panicz z ciebie — dotknęła ustami jego policzka — zgubi cię jeszcze

Dalszy ciąg na str. 6

ŚWIĘTE MRÓWKI GDZIE JESTEŚCIE?

(Dalszy ciąg ze str 1)

śnie na widok rytych tablic, rzeźb, pomników, płaskorzeźb i tylu innych rzeczy [illegible] parafialnych kościółkach, które ich są. To jest kamieniarzy. Chędoga jest wieś, którą stać na takie wspaniałości. Szczerców nie Szczerców. Piękne są te nagrobki, od których bije zaduma, przy których kończy się każdego droga. Gdzież ci kamieniarze, niechaj ich zobaczę, rękę uścisnę z wielkiego wzruszenia.

Źleście trafili obywatelu, kamieniarzy u nas nie ma.

Urzędowy wykaz podaje czarno na białym, że w Bełchatowie tudzież całym powiecie kamieniarstwem nie brudzi sobie rąk ani jeden rzemieślnik. Spece od dłuta gdzieś wywiali, śladu po nich nie ma. Kamieniarze? Nie ma ich, niegdyś bywali, ale coś ich napadło i się ulotnili. Więc któż u licha stawia te nagrobki w miejscach wiecznego spoczynku? Są godne uwagi, ujęte w architektoniczną obudowę.

Nie wiemy obywatelu. Hm, więc może krasnoludki to robią, rumiane skrzaty w czerwonej czapeczce?

W Zduńskiej Woli 2 tęgich murarzy wyjęło z pieca jak bochenki, podało ludziom na uciechę, 40 domków jednorodzinnych. Seans trwał tylko rok. Jeden murarz i 20 domów, wątpię czy w Colorado Springs znajdzie się rekordman, który by tak potrafił machać cegłami. Mało tego. Niewidzialne duchy pod samym bokiem groźnego trybunału pokryły w zeszłym roku kilkaset nowych zagród w powiecie piotrkowskim. Duchy, bo na zacnej piotrkowskiej ziemi nie działa żaden dekarz. Nie działa i koniec. Niech mi nikt nie wmawia, że jest inaczej. Ja tam wolę wierzyć oficjalnym statystykom, z władzą nie zadzierać.

To wszystko głupstwo. Całe wsie wyrastają i nie wiadomo, kto je stawia.

Architekt powiatowy rzekł w zamyśleniu:

„Nie ma na nich siły. Gdy ujrzą z daleka, że ktoś obcy się zbliża, lecą z rusztowań jak gruszki z drzewa".

No cóż, dają nogi za pas, aby nie wejść w kontakt z urzędem. Nie włażą przecież na gruszkę, żeby kraść pietruszkę, oj nie. Wykonują roboty rzemieślnicze, nie mając po temu uprawnień. Są partaczami, robią więc fuchy. Gorzej, że te fuchy już po nich zostają jako wynaturzone domostwa, sklecone byle jak, pokraczne, o wygładzie garaży. Kleconki nie domki, to nimi fuszerzy upiększają nam wieś, już i bez tego dostatecznie „piękna".

Starczy tych usług. Pora opuścić Alicję i krainę czarów. Dawajcie coś z produkcji.

Zgoda. Lecz wyznam od razu, nie bez pewnych obaw, że cierpię na rodzaj kompleksu rzetelnego rzemiosła. Nic groźnego, taka sobie choroba, która zgłasza się ni stąd ni zowąd, jak dobry, stary znajomy, ilekroć wdepnę do Gdańska. Stoję wtedy kornie i w skupieniu gdziekolwiek się da, skąd jest dobre wejrzenie na panorame miasta i patrzę na te świątynie, bramy, mury, zbrojownie, baszty. To rozkosz tak patrzeć.

Pamiętam lat temu kilkanaście, gdy piekący kurz z rumowisk zatykał oddech, tylko te wyniosłe budowle średniowiecznego rzemiosła, majestatu pełne, stały i trwały bombom na urągowisko. Wkoło płaska ruina, w nią wbite kamienno-ceglane monumentalne posągi. Groźne, nieugięte.

To zdumiewało. Tu murarz, ówdzie cieśla, kowal, kamieniarz. Jeszcze dziś widzę mrowie rzemieślników na niebotycznych rusztowaniach. To oni jak w bajecznie zestrojonej orkiestrze, grali wysoko pod niebem, swój hymn twórczej pracy.

Mrówki, święte mrówki, pewnie, że tak.

Nas materialistów mogą dziwić te budowle, daleko mi wszakże do taniej kpinki. Jakież to były ducha wzloty. Trzeba samemu być z kamienia, żeby nie poddać się mocy, która idzie od tych masywnych, przy tym lekkich światyń i pałaców, zwartych w sobie niby twierdze, a jednak strzelistych i wdzięcznych. Ileż w tym harmonii, wewnętrznego ładu, spokojnej pewności siebie. Jak oni to robili, ci prości rzemieślnicy? Czy wiecie jak, drodzy architekci, którzy składacie nam grobowiec kulawego Tamerlana w sercu Łodzi i zerkając na kopułę niby bunkier, powiadacie, że to teatr?

Panie — rzeknie przyjaciel miasta Łodzi — odwal się pan, dobrze? Gdyby pana przez tyle lat miętosili jak ten teatr, też byś pan lepiej nie wyglądał. Dobrze jest, jak jest...

Włoski architekt w niezapomnianej „Przygodzie" Antonioniego, przytłoczony bogactwem form architektonicznych dawnego Palermo, mistrzostwem w samym uszeregowaniu budowli, wypalił, aby uspokoić własne sumienie, może usprawiedliwić twórczą niemoc:

„Oni budowali z myślą o stuleciach, my budujemy na lat 15..."

W tym zdaniu tkwi na pewno jakiś sens. Być może dlatego w tym co się wkoło widzi, sztuki za grosz, tandety za miliony. Za grube miliony.

Jakże więc z tym rzemiosłem, czy w stuleciu „mass-production" oraz „mass-culture" jest miejsce na jakiś indywidualny akt w produkcji? To zależy co się produkuje i jak się produkuje. Pan Morawski to kowal z Łęczycy. Ale jaki. Wyrabia żelazne krzyże. Ale jakie. Czysta robota kowalska, żelazo, młot, ogień. Robota nie skażona żadnym tam pilnikiem. Te krzyże idą na eksport. Koją nostalgie Polonusów w Detroit, pachną kartoflem i wierzbą, także potem. Nam sypią dolarami.

Ręczni tkacze też jeszcze nie zeszli ze sceny. Do ostatniego aktu jeszcze daleko. W Starowej Górze i Ksawerowie, przetykając watkiem osnowę, wyrabiają gęste kapy żakardowe dla Jugosłowian. W Pabianicach „inlety" na wzory. W Zduńskiej Woli i Kutnie krawcy szyją konfekcję dla ZSRR. Koniec rzemiosła przepowiadano już 100 lat temu. Wolnego, rzemieślnicy to twarde sztuki, oparli się burzom, dotrzymują placu. Czy jedynym ich atutem jest jakość produktów?

Znawca spraw gospodarczych Amerykanin Jesse R. Sprague pisał jeszcze w 1926 roku:

„Załóżmy, że mały warsztat wyrabia dziennie 20 dzwonków do drzwi. Koszt produkcji jednego dzwonka równa się dolarowi, firma sprzedaje dzwonek za 2 dolary. Koszty sprzedaży są minimalne. Klienci zwracają się wprost do firmy, ta ich zaopatruje bez pośredników. Pewnego dnia ten warsztat przejmuje w swe ręce towarzystwo akcyjne. Postanawia zbudować fabrykę, aby podnieść produkcję dzwonków do 10 tysięcy sztuk na dobę. Koszty produkcji w przeliczeniu na dzwonek spadają, ale żeby sprzedać taką ilość dzwonków, wyłania się potrzeba zorganizowania aparatu sprzedaży.

Generalny dyrektor spółki akcyjnej uruchamia więc filie w różnych miastach. Na czele każdej filii staje dyrektor, ma do pomocy sztab urzędników. Koszty gwałtownie rosną. Aby towarzystwo mogło wypłacić akcjonariuszom 4-procentowe dywidendy, musi podwyższyć cenę dzwonków do 4 dolarów za sztukę. I wtedy na widowni znów pojawia się mały warsztat, który, jak się okazuje, może sprzedawać dzwonki taniej, choć je będzie produkował drożej..."

Tok rozumowania ciekawy. Służył przeforsowaniu tezy, że nawet w Stanach, gdzie mechanizacja jest kultem samym w sobie, zostaje jakiś margines dla drobnej wytwórczości. Pewnie, że ten rzucony ad hoc wywód, niewiele ma wspólnego z naszymi warunkami. Daje wszakże do myślenia. Jakoś skojarzył się na podstawie odległej analogii z kwestią dotyczącą łódzkiego klucza PGR-ów.

Podłódzkie gospodarstwa dostarczają gożdziki placówce handlowej „Warzywa i Owoce". Przedsiębiorstwo płaci PGR 12 złotych za jeden goździk. Ten sam goździk „Warzywa i Owoce" sprzedają klientom po 20 złotych. Marża horrendalna, 40-procentowa, za sam akt sprzedaży. Cóż, chodzą słuchy, że w samym dziale księgowości tej handlowej instytucji trudzi się w benedyktyńskim trudzie kilkadziesiąt osób. Jest to więc przykład windowania cen przez rozbudowany aparat handlu. PGR mogłyby się obyć bez całej tej księgowości i sprzedawać goździki po 14 złotych sztuka i jeszcze by na tym zarobiły krocie. Proszą od dawna o jakiś lokal handlowy przy Piotrkowskiej, proszą bezskutecznie...

Być może i ten wywód nie jest zbyt typowy, ale też daje do myślenia. Coś w tym wszystkim jest.

Zbaczam z głównego toru, miało być o rzemiośle. No więc trudno się oprzeć wrażeniu, że tak zwane małe serie rzemieślnik wykona szybciej, taniej, lepiej. W Niemczech, kraju wysoko uprzemysłowionym, pracowało przed wojną półtora miliona warsztatów rzemieślniczych, które zatrudniały 4 miliony majstrów, czeladników, uczniów. Całą armię. Rodowód wielkiego przemysłu sięga tam rzemiosła. Rzemiosło jest zresztą w Niemczech potęgą po dziś dzień. Niemal 30 procent eksportu NRD w pewnych gałęziach produkcji jest dziełem rzemieślników. Niemcy z dawna słynęły z wyjątkowo sprawnego rzemiosła. Ten „norymberski śnieg — jak pisze Różewicz — prószył też na dachy Krakowa".

Szwajcarzy też zaczęli od zegarków, a teraz mają taki przemysł, że sprowadzili już 700.000 robotników z zagranicy i ciągle im mało.

Pomyśleć, nie takie to znów odległe czasy, kiedy Petersburg zamawiał trzewiki u warszawskich szewców, a pan Górski z Łodzi, znakomitość w swym kunszcie, wysyłał obuwie do rzymskiego papieża. Rzemiosło nadawało ongi ton w Szadku, Uniejowie, Złoczewie, upadło, pociągając za sobą ileś tam miasteczek. Czy upaść powinno? To wcale nie jest takie pewne. Ghana czeka na ręcznie szyte obuwie, holenderskie czyściochy czekają na drewniane uchwyty do bielizny. Centrala Handlu Zagranicznego „Prodimex" co rusz to składa w Łodzi oferty na wyprodukowanie miarek kuchennych, ręcznie kutych gwoździ do butów narciarskich, na podkładki śrubowe, nakrętki, śrubokręty. Aż 100 tysięcy śrubokrętów można było wysłać z Sieradza czy Piotrkowa za granicę. Sęk w tym, że ani jeden rzemieślnik nie skorzystał z oferty. Centrala usiłuje uchylić drzwi, nikt jednak buta nie wciska w szparę, nie próbuje wyjrzeć na szeroki świat.

Oklapli nam mistrzowie, wymarł duch w narodzie, czy co? A może paraliżujący lęk przed domiarem?

W ogóle taki dziś dzień nastał, że bogaty Zachód zaczyna się snobować w rzemieślniczej robocie. Stare „Daimlery" z nitem na wierzchu robią furorę. Pewien ślusarz z Hamburga zbił majątek na składanych nożykach o stu przystawkach. Noże szły jak woda, aż za ocean, wracały powrotną falą, szeleszcząc dolarami.

Zrób kto może taki nożyk, kupcy się znajdą, byle oryginalny, nieco inny niż fabryczne.

Kowal Morawski z Łęczycy wybrał drogę nietypową. Miast konie kuć, jak pan Bóg przykazał, wycina krzyże z żelaza, ciężkie krzyże o misternie kutych ramionach. Łęczycki kowal nie narzeka, że czasy trudne, pech, zła gwiazda. Może rzemiosłu trzeba więcej takich nietypowych dróg, małych serii? Wielki przemysł nie jest totalną groźbą dla rzemiosła, tą groźbą jest raczej „stojąca woda" w samym rzemiośle. Wyroby noszące cechy indywidualności o walorze autentycznym, mogą liczyć na szeroki krąg odbiorców, którzy w Holandii wolą zwiedzać Volendam, a nie Rotterdam, w Polsce Wieliczkę, a nie Nową Hutę. Bo Nowych Hut w świecie tuziny, nawet większych.

Rzemiosło, ogólnie rzecz biorąc, może jeszcze długo być uzupełnieniem przemysłu.

Fabryka produkuje wedle raz ustalonego wzoru, powiela na sztancy prototyp. Rzemieślnik może uwzględnić zachciankę klienta, wyrabiać same prototypy. Przetrwał tyle wieków głównie z racji jakości wyrobów.

Rzemieślnik, który rzuca na rynek tandetę, sam podcina gałąź, na której go posadzili jego wielcy poprzednicy.

Dlatego kto wie, czy główną chorobą, jaka trapi nasze rzemiosło, nie są owe nielegalne warsztaty fuszerów. Partactwo jest rakiem, który toczy rzemiosło od środka.

JAN BĄBIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 5

kiedy to wypada — nie wypada za łatwo przyjmujesz cudze style! Pamiętaj, że czekamna ciebie.

Kiedy odeszła, Justyn przystanął przed lustrem. Nie kłamało dworskie lustro. Widział przed sobą twarz prawdziwego intelektualisty, jakieś nieokreślone poczucie samotności, jakieś oddalenie od spraw, którymi żyją tu ci ludzie, zamknięci w olszyńskiej pustelni.

Wszedł do salonu, odpowiedział niechętnie na pozdrowienia i usiadł za wiśniowym stolikiem, który stał obok kominka. Moja klasa — pomyślał z niesmakiem — trutnie, które wychylają twarze ze śmietnika. Wilczkówna, zakochana w Marku klucznica wielka koronna, po układała swój szkolny dobytek na skórze dzika, obok rozłożyła się całkiem nieprzyzwoicie na poduszkach panna Chokoszewska, ani brzydka, ani ładna, ani mądra, ani głupia, narzeczona olszyńskiego Wilczka, który z trudem dobijał matury. Pozostali kandydaci na dojrzałych ludzi — Śmiarowski i Lubieński junior siedzieli w fotelach. Justyn znał już ich obyczaje. Zaraz na początku wykładu przymkną oczy, żeby lepiej przeżywać słowa profesora, a w gruncie rzeczy ruszą w las ze strzelbami na polowanie, zakradną się do piwnicy, gdzie hrabia Izydor studził gąsiory sławnej śliwowicy, będą podszczypywali co ładniejsze dziewczęta służebne w ciemnych korytarzach, może zaciągną którą na łóżko, zagrają w karty, albo, jeżeli im się zbierze po wódce na patriotyzm — wyprawią się na Wschód, żeby pobić Armię Czerwoną.

Rzucam perły między wieprze — Justyna ogarnęła złość. Wilczkowie, Śmiarowscy, Grzymułty, Dębiccy — to mają być te tęgie dusze! Tak go przecież uczono — misje dziejowe realizowali, wyrąbywali szablą drogi narodu, a teraz mają kłopoty z tabliczką mnożenia. Należą do historii, a pojęcia o niej nie mają.

— Dziś mamy omówić społeczną problematykę „Wesela" — rozpoczął i postanowił równocześnie, że wyprawi w tym dworze takie wesele, jakiego nie pamiętają najstarsi. Wykład rozpoczął pochwałą chłopów, „tej masy bezimiennej, która od wieków wytwarzała wartości niezbędne dla utrzymania narodowego bytu, broniła ojczyzny w ciężkiej potrzebie i cierpliwie znosiła pańskie obiecanki-cacanki".

— Ino na wsi jesce dusa, co się z fantazyją rusa — powiada Wyspiański. Bo chłop w sobie ma coś z Piasta, chłop potęgą jest i basta! — huknął na cały salon.

Pokojówka, wsparta na szczotce westchnęła z zachwytu.

— Ranyści! Tyla spamiętać!

Podziw słuchaczy zdawał się wzrastać, mówienie do rymu uważano w tych stronach za głęboką i autentyczną wiedzę. Obok pokojówki przystanął w otwartych drzwiach salonu lokaj Tadzio. Tego rodzaju lekceważenie obowiązków mogło się przydarzyć tylko podczas nieobecności hrabiego Izydora, słuchanie poezji nie mieściło się w etacie służby. Pan Kmita zagłębił się w fotelu, pan Morawski uśmiechał się przyjaźnie do Justyna.

— I tak to wielki pisarz, w pięknym poetyckim słowie dowiódł prawdy bezsprzecznej i do dziś aktualnej: szlachta zakończyła już swoją rolę dziejową, pozostało jej życie na rachunek przodków. Będzie jeszcze wspominać Zawiszę, będzie grzebać w urnach, zaglądać na cmentarze, dawniej, kiedyś tęgie dusze, półwariackie animusze — czytamy w „Weselu", proszę to sobie zapamiętać. Wyrosły jednak, albo powiedzmy lepiej — obudziły się wreszcie, bo one zawsze istniały, nowe siły społeczne, chłopi i oni to — zdaniem poety — ujmą ster rządów w kraju, jeżeli zasnęli w ostatnim akcie, to tylko dlatego, że raz jeszcze uwierzyli w przodownictwo szlachty, był to wszakże ostatni akt.

Uczniowie notowali bez entuzjazmu, pan Kmita zdawał się drzemać, tylko Tadzio potakiwał energicznie głową. Justyn złożył książki, z których zresztą nie korzystał i zwrócił się do Wilczka.

— Bądź taki dobry i zanieś mi je do pokoju, chciałbym zażyć powietrza i przemyśleć jeszcze problem niepodległości u Żeromskiego.

Dzień był ciepły, gdzieś w głębi ziemi dojrzały już tajemnicze siły, które niebawem zazielenią świat. Natura gromadziła pracowicie przez całą zimę soki, barwniki i zapachy dla kwiatów, może już drgnęły po raz pierwszy senne larwy, z których wyklują się motyle i polecą w nieodgadniony świat? Z obszernych pomieszczeń wytaczano wozy, od kuźni niósł się stuk młotów, kowal i kowalczyki sposobili narzędzia do wiosennych prac w polu.

Minął bramę i wyszedł na drogę, która jak wszystkie drogi w Olszynie, prowadziła do lasu. Przystanął pod samotną kapliczką, patrzył na smutną twarz chłopskiego Chrystusa otoczoną słonecznymi kaczeńcami. Człowiekowi potrzeba wiary, jeżeli zrywa kwiaty i rzuca je świątkowi, to znaczy, że wierzy. A ja? W co ja wierzę — zapytywał sam siebie.

Zawrócił w stronę dworu, zapatrzony w gasnące niebo.

Konrad oznajmił mu wielką nowinę.

— Izydorek i cały fraucymer powrócili przed chwilą do grodziszcza.

Jak zwykle o wieczornej porze, Marek leżał na łóżku i rozważał marność tego świata.

— Możemy iść z tobą na wódkę!

Justyn nie wierzył uszom. Konrad poklepał go po plecach.

— Wskutek nieobecności Wyspiańskiego hrabia opieprzy ciebie, już mu pan Kmita i nasi genialni uczniowie wszystko wyśpiewali. Tu się zawsze donosi za miskę soczewicy, u Tyzenhauzów takich rzeczy nie bywało, poglądy obce zwalczyliśmy otwarcie naszymi.

— Słyszeliście o moim wykładzie?

— Słyszeliśmy, Tadzio nam zreferował.

Marek podniósł się na łóżku.

— Tadzio nie jest lokajem, ty też przestajesz nim być. Wszystko, jak widzisz, zmienia się, nie ma nic trwałego na tym świecie prócz miłości zakochanej kobiety, pod warunkiem, że darzymy ją wzajemnością, ale to warunek niemożliwy do spełnienia. Ty się też zmieniasz i oto stwierdzamy z przyjemnością, że wyrastasz na jakiego takiego człowieka. Ale jeszcze nim nie jesteś, czeka cię niebawem poważna próba. Dziś dowiedział się o twoich znakomitych zresztą wykładach Gargantua, no i albo cię postraszy, albo spróbuje przekupić. Jeżeli nie złożysz mu hołdu pruskiego, zamelduje o tym Żbikowi Wielkiemu, który wciąż jeszcze żyje w tych stronach,

d. c. n.

TELEwizja

O amatorach i rozrywce

Od czego to wszystko się zaczęło? — Trudno byłoby mi uporządkować ciąg zdarzeń; faktem jednak jest, że zapoczątkowany jeszcze w grudniu ubiegłego roku, rozrywkowy program — „Dziewięciu najlepszych" nie był wcale pierwszym programem z cyklu: „Amatorzy do telewizji!". Moda na amatorów-piosenkarzy stała się równie silna i gwałtowna jak twist, który jest zresztą skutecznie propagowany przez ulubienicę nastolatków, już gwiazdę, lub prawie gwiazdę piosenkarstwa polskiego, odkryta także dzięki... konkursowi dla amatorów, nastoletnią Helenę Majdaniec.

Moda w swojej pierwszej fazie jest zjawiskiem zazwyczaj pozytywnym. Ale tylko do czasu — póki nie przekroczy granic przyzwoitości — inaczej mówiąc — póki nie stanie się tak powszechna, że już przejaskrawiona i zwulgaryzowana. Często moda może być niebezpieczna, a szkodliwa społecznie. Przypomnijmy tutaj dzieje bohatera młodzieżowego, którego model przyjął się po telewizyjnym cyklu filmowym „Znak Zorro". Wystarczy sprawdzić w statystykach, jak bardzo wzrosła w okresie nasilenia jego popularności przestępczość nieletnich; np. wiele młodzieżowych grup przestępczych przyjęło za pseudonim imię telewizyjnego bohatera.

Nasza moda na amatorów-piosenkarzy nie jest na szczęście aż tak groźna. Zrodziła się ona z konkretnej potrzeby. Mieliśmy po prostu zbyt mało dobrych piosenkarzy, i zaczęliśmy w ten sposób poszukiwać nowych talentów. Rewelacji raczej nie było wiele, poważnie można potraktować jedynie Bożenę Grabowską, a od biedy i pod warunkiem, że trochę ogładzi swoje amatorskie piosenkarstwo Helena Majdaniec — zaś reszta gdzieś po drodze zginęła. Zbladła nawet gwiazda „atomowej Kaśki" — Karin Stanek.

Niewspółmiernie małe są więc „efekty" poszukiwań w porównaniu z ilością programów. Cykl „Dziewięciu najlepszych" wyłonił nie najlepszych, lecz zupełnie przeciętnych — tyle, że młodych i już zbłazowanych piosenkarzy, o których po jednorazowym wystąpieniu przed kamerą — ani widu, ani słychu. Warszawa, Kraków, Katowice lansować zaczęły uporczywie owe amatorskie talenty. Najlepiej wypadł Kraków (koncert laureatów konkursu studenckiego), potem Katowice ze swoją „Zabawą amatorów", nie mniej jednak, na podstawie wszystkich w ogóle prób, więcej czy mniej udanych można zauważyć, że przy organizowaniu „koncertów" amatorów należałoby kierować się większą i bardziej pogłębioną selekcją, po prostu dlatego, aby uniknąć kompromitacji. Obustronnej zresztą, bo i telewizji i amatorów. Telewizja jest bowiem bardzo czułą muzą, obiektywną i jednocześnie bezwzględną, wyłapuje najdrobniejszy brak nawet u rutynowanych aktorów, a cóż dopiero u debiutujących amatorów. Domyślić się łatwo, że taki konkurs dla amatorów posiada swoje ukryte i nieco wstydliwe przyczyny: amator nie ma zbyt wielkich wymagań, więc — nie trzeba mu za wiele płacić, gdy tymczasem wykonawca z prawdziwego zdarzenia — kosztuje. Ale pomimo względów oszczędnościowo-budżetowych, kurs na amatorszczyznę należałoby, moim zdaniem, mocno ograniczyć. Problematyczna jest bezpretensjonalność amatorskich wykonawców, pozorna ich świeżość, żałosna natomiast mania naśladowania, pozbawiająca własnego wyrazu i własnej twarzy. Przecież to są niezwykle kiepsko odbite kopie.

Ktoś powiedział, że zrezygnowałby bez żalu z dziesięciu Kóbr oraz Tele-Echa na dokładkę, w zamian za jeden program Kabaretu Starszych Panów.

To prawda. Kabaret Starszych Panów nikomu nie obrzydł, nie znudził się, nie przeżył. Właśnie, Kabaret Starszych Panów jest wiecznie młody.

W atmosferze absurdalnej groteski, intelektualnego dowcipu, kulturalnych tekstów: inteligentnych i żywych, w oprawie świetnej scenografii, potęgującej ten odrealniony klimat, Dwaj Starsi Panowie — Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski prowadzą swój Kabaret. Różnorodna galeria postaci — dziwnych, śmiesznych, lecz komunikatywnych przewija się na małym ekranie. W każdym Kabarecie Starszych Panów debiutuje ktoś nowy, obok stałych wykonawców — Kaliny Jędrusik, Wiesława Michnikowskiego, Czesława Roszkowskiego pojawiają się wciąż nowi aktorzy: Barbara Krafftówna, Irena Kwiatkowska, zaś w ostatnim Kabarecie (6. IV.) z powodzeniem występowała Aleksandra Śląska i Zofia Kucówna. Widz ulega wrażeniu, że cały spektakl jest przeznaczony tylko dla niego, nawiązując w ten sposób bezpośredni kontakt z wykonawcami. Widz ma przekonanie, że to do niego aktor mówi, uśmiecha się, śpiewa. Tak więc Kabaret Starszych Panów spełnia prawa rządzące telewizją i jest najbardziej atrakcyjnym, najdoskonalej robionym rozrywkowym programem w polskiej telewizji.

KOWALSKI

TADEUSZ PAPIER

OBRONIONA BAŚŃ

STANISŁAW CZERNIK

Urodzony w 1899 roku w Zochcinie, pow. opatowski. Redaktor i wydawca miesięcznika poetyckiego „Okolica Poetów" 1935 — 1939. W Łodzi mieszka od 1949 r. Otrzymał nagrodę literacką miasta Łodzi w 1955 r. W ciągu czterdziestu lat pracy pisarskiej, od 1923 roku wydał szereg książek z zakresu poezji, folklorystyki, eseistyki i in. oraz następujące powieści: „Gorycz" 1938, „Smolarnia nad Bobrową Wodą" 1949, „Uniwersał Czarnieckiego" 1953, „Opowieść o Klemensie Janickim" 1954, „Wierne kosy" 1954, „Wór pszenicy" 1955, „Wilcze Doły" 1956, „Wichura" 1958 oraz „Ręka" 1963.

Stanisław Czernik dał nam powieść-baśń o czasie współczesnym. Baśń o bogatej problematyce moralnej. A także w pewnym sensie „o sobie samym", o poszukiwaniu własnego rodowodu, o związkach z domem rodzinnym. Te motywy, antenatów, domu rodzinnego „pod wierzbami" pojawiają się często w pracach Czernika. Czernik wyznaje: „Tło, krajobraz, rośliny, zwierzęta, ludzie, przedmioty skupione przy arce rodzinnej pomagają moim myślom, ułatwiają mi to, co nazywam procesem poszukiwania rodowodu" (Rzecz poetycka, Tworzywo, 1958). „Miód piłem na kmiecym weselu. U cisowego stołu" — powiada w „Prapoezji". Ustawiczne pytania — kim jestem? skąd? jakie były moje dzieje nim stałem się ciałem i duchem? — to nie zabłąkanie mistyczne, stwierdza pisarz. Są to sprawy związane z rzeczywistością, pasjonują Czernika te wyprawy w przeszłość, „spotyka się i rozmawia z antenatami", a z rozmów tych powstają szkice, opowiadania, powieści i wiersze.

Narodziła się więc i „Ręka". Powieść o problematyce moralnej. O kompleksie „czystej ręki", o prawości człowieka, dla którego odłamana gałązka brzoskwini staje się bolesnym problemem. Powieść-baśń o wierze w prawość ludzką. Zaledwie trzy dni toczy się akcja powieści. W istocie jednak dłużej niż życie ludzkie; dłużej niż życie kilku pokoleń. Formalnie rzecz biorąc, powieść Czernika zbudowana jest na dwu płaszczyznach — współcześnie rozgrywającej się akcji (przyjazd do rodzinnej wsi, Wiśniowej Góry po dwudziestu latach nieobecności na trzydniową wizytę do brata — uczonego, etnologa, badacza kultur pierwotnych i zarazem miłośnika „dawności", „zaczasów", rozczytanego w księgach Zend-Awesty) — i drugiej płaszczyzny — wspomnień zawartych w pamiętniku pradziada Grzegorza. Jednak tych wzajemnie przenikających się płaszczyzn znajdujemy w powieści więcej. Dla Czernika nie ma umarłego czasu. Dzień wczorajszy odbija się w dniu dzisiejszym, rzeczywistość jest skomplikowana i bogata, każda sekunda nabrzmiała czasem i ważnością. Życie na wsi, jak każde życie, składa się nie tylko z jednej wierzchniej warstwy, różne plany czasowe nakładają się na siebie, treści współczesne współistnieją z dawnymi, niepokój, który kiedyś gnębił pradziada Grzegorza, odzywa się teraz w sercu Adama. Adam żyje cierpieniem pradziada i ten sam kompleks „ręki" (myśloręki, która zabija i niszczy) przechodzi z ojca na syna. Pradziad Paweł, który z rozpaczy wybrał sobie na ostatnią powiernice brzozę, „matkę miłosierną i okrutną", również nie schodzi ze sceny rodzinnej. Także Mateusz Szpak zostaje policzony w ten sam poczet „świętych", którzy odchodzili z tego świata po „borynowsku". „Weźta mnie z łóżka", powiedzieli ojciec, „i ułóżta w polu, na gołej ziemi." „O, jak mi lekko", zawołali ojciec, kiedy ułożono go w bruździe, „i, zaraz skonali już bez cierpień." No więc okazuje się, że życie w domu-szałasie nie jest prostoduszną i naciąganą bukoliką.

„Tu właśnie, na tym drobniutkim wycinku Ziemi, najwięcej skupiło się mojej swojszczyzny, najsilniej odczuwalnej, najbardziej rozprzestrzenionej w wyobraźni, bezpośrednio przejętej od najbliższych antenatów, ciągle jeszcze żywej..." Bohater powieści mówi o „samoistnym instrumencie padawczym", który przekazuje informacje ze świata ojców i dziadów do świata synów i wnuków. Bohater powieści jest w głębi duszy poetą, patrzy na świat oczami poety, ma prawo konstruować instrumenty nadawcze, jego spotkania z ludźmi żywymi i umarłymi należą do kategorii przeżyć poetyckich. Jacyż więc są ci bohaterowie tego domu, który jest od wewnątrz spróchniały, ale „trzyma się jakąś siłą starości", oglądani w zwierciadle poety? Jacyż są ci ludzie, którzy „myśli mają zranione" i cierpią z powodu złamanej gałązki drzewa? Czy nie są zbyt „baśniowi" i nierealni? Pradziad Grzegorz, kupujący książki u pana Wilkowskiego w Sandomierzu, jedyny „czytacz i pisarz" we wsi, czegóż on szuka przy naftowej lampce („która tyle kosztuje"), jakich czasów wygląda? Do czego po latach zmierza Paweł, jego uczony prawnuk, miłośnik ksiąg Zend-Awesty? Od jakiego cierpienia moralnego wyzwala się Adam? Poetyka „szarej" codzienności, nieustanny rytm dni i nocy, narodziny, wesele, śmierć, codzienna praca, realia wiejskie (poza świetnymi zapisami obyczajowymi) nie znajdują tutaj w pełni swojego odbicia. Mamy pyszny portret zbiorowy rodziny z naczelnikiem rodu babką Katarzyną, ale zbyt mało w nim rysów „rzeczywistości okresu". Portret znajduje się jakby poza ramą czasu, w którym był robiony. A jednak tych kilka kresek obyczajowych znaczy nieraz więcej niż całe stronice aktualiów. Przecież jest to powieść-baśń opowiedziana przez poetę, w której „nienazwane" staje się nazwanym, a „niejasne" realistycznie wyraziste. To wąskie okienko rodzinnego domu odsłania nam daleko szersze horyzonty, niż te, które może ogarnąć oko mieszkańca. Jest to opowieść o narodzinach prawości. W tych układach opłaca się trud „poszukiwania rodowodu". Czernik nie przeczy, że na rękach ludzkich osiada „obca rdza", ale nie rdza w końcu zwycięży. I na ziemię nie spadnie gwiazda Piołun i nie zatruje rzek ani źródeł wód. Człowiek nie wykorzysta swojej „wydumanej" złej gwiazdy. Czernik wie, że rzeczywistość jest trudna i skomplikowana moralnie, psychologicznie i społecznie. I kiedy Adam „z innym sercem", odchodzi do swojej pracy, wierzymy w ludzi o czystych rękach, którzy się rodzą w niemałym trudzie, jak w niemałym trudzie rodzi się wszystko nowe, ludzi nie moralizujących, „ale moralnych w zasadzie".

Stanisław Czernik, „Ręka", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. 1963. str. 196 nakł. 10.000 + 350, cena zł. 12.

do druku podał St. Chmurzyński

RZĘSIŚCIE

Dr Stanisław Skalski znany przedwojenny działacz społeczny był zdecydowanym wrogiem nr 1 alkoholizmu.

W 1924 roku odbyło się otwarcie sanatorium dla dzieci gruźliczych w Łagiewnikach. Zarząd miasta dla zaproszonych gości przygotował tzw. „lampkę" wina. Obecny na otwarciu dr Skalski z punktu zaprotestował przeciw częstowaniu gości alkoholem. Organizatorzy zwrócili się do dr Seweryna Sterlinga o pomoc. Dr Sterling znając niewzruszone zasady antyalkoholowe dr Skalskiego, w pewnym momencie kiedy oficjalna część otwarcia dobiegała końca — wziął pod rękę dr Skalskiego udając się z nim na teren sanatorium. Rozmowa na świeżym powietrzu obu lekarzy trwała przeszło półtorej godziny. W tym czasie goście rzęsiście oblali nowy przybytek leczniczy zachowując wdzięczną pamięć dla dr Sterlinga. Co to znaczy rzęsiście? To znaczy, że wracali na rzęsach do domu z tej uroczystości.

OPŁATA ZA WYJŚCIE

Jak wiadomo, Stanisław Książek był właścicielem „Kuriera Łódzkiego" w okresie 1906—1919 r. Lecz pasjonował się więcej operetką niż własną gazetą. Ostatecznie Książek stworzył zespół operetkowy na czele z ówczesnymi gwiazdami operetki Mariewską i Millerem, występy nowo powstałej operetki odbywały się na deskach teatru „Apollo" stanowiącego własność przedsiębiorcy teatralnego Fryderyka Selina. Książek podług kontraktu 18 proc. od dochodu brutto miał płacić Selinowi. Na pierwszy ogień poszła „Nitouche" jednak nie przyniosła ona spodziewanego finansowego sukcesu. Książek nie mógł wywiązać się z płatniczego zadania wówczas poirytowany Selin zaproponował mu wyjście z sytuacji: niech pan ogłosi, że wejście na operetkę jest bezpłatne, za to niech pan po skończeniu przy wyjściu pobiera po 50 kopiejek od osoby. Ten system trafił do gustu publiczności i „Nitouche" zaczęła przynosić dochody.

JADWIGA JAŻDŻYŃSKA

WAŻNA KSIĄŻKA

W ostatnich czasach wiele się mówi i pisze dobrego i złego o młodzieży, niekiedy pisze sama młodzież. Pisze o tym czego szuka w życiu, czego jej brak, rzadziej jakie ma sukcesy.

„Wszyscy, którzy mają w pamięci młodzież akademicką pierwszych lat powojennych wiedzą, jak bardzo różniła się ona od dzisiejszych studentów" — czytamy w pierwszym zdaniu wstępu do książki A. Leśniewskiego *).

Autor zauważa też różnice jakie istniały między dzisiejszą, a tamtą młodzieżą akademicką, szczególny klimat czasów powojennych i atmosferę polityczną, która określały i której nadawały temperaturę organizacje akademickie.

Wydarzenia z lat 1945—48, dotyczące działalności radykalnej lewicy studenckiej, opisane w książce A. Leśniewskiego wykazują, jakie różnice zachodziły między dawną, a współczesną organizacją — Związkiem Młodzieży Socjalistycznej. Dlatego też historia organizacji AZWM — „Życie" — może być drogowskazem nie tylko dla działaczy i przywódców ZMS, nie tylko dla członków tej organizacji, ale dla młodzieży w ogóle, która wszystko co zdobyła w zakresie i spraw socjalnych, i możliwości równego startu uważa dziś nie tylko za oczywiste, ale często za niewystarczające.

Książka o AZWM — „Życie" zawiera rozdziały: O powstaniu Uniwersytetu, o powstaniu i działalności Bratniej Pomocy, o walce z grupami młodzieży reakcyjnej, o kursach przygotowawczych na wyższe uczelnie, o sporach ideologicznych wśród młodzieży i zjednoczeniu ruchu młodzieżowego.

Druga część pracy zawiera aneksy składające się z podstawowych dokumentów, jak deklaracje, instrukcje, rezolucje i ważniejsze przemówienia, tezy i projekty ideologiczne, a wreszcie umowę o jedności działania dwóch istniejących wtedy robotniczych organizacji — Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie" i Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej.

Książkę Leśniewskiego zamyka wykaz wykorzystanych źródeł literatury, stosowanych skrótów oraz streszczenia w języku rosyjskim i angielskim.

Redakcja książki na ogół staranna podkreśla jeszcze bardziej jej rzeczowy i naukowy charakter.

Z wymienionych wyżej interesujących rozdziałów książki Leśniewskiego, jeden wydaje się być szczególnie istotny, a mianowicie: spory ideologiczne.

Jest rzeczą oczywistą, że w organizacji studenckiej tamtych lat problemom ideologicznym poświęcono wiele czasu i miejsca.

W tych latach wielu aktywistów partyjnych i młodzieżowych, nie tylko „Życiowców", żyło, w głębokim przekonaniu, że wszystkie rozstrzygnięcia ideologiczne posiadają bezpośredni wpływ na praktyczne rozwiązywanie problemów codziennej rzeczywistości. Angażowanie się więc zrzeszonej młodzieży studenckiej w spory ideologiczne było z całą pewnością dyktowane i tym, że wśród „życiowców" istniało przekonanie, że ich działalność bezpośrednio wzmacnia ustrój państwowy i przeciwdziała wrogim tendencjom politycznym.

Aktywna postawa „życiowców" łódzkich znajdowała również wyraz na seminariach i ćwiczeniach uniwersyteckich.

Omawiając te sprawy szeroko A. Leśniewski, na sześciu zaledwie stronach książki mówi o kontaktach i sporach z innymi organizacjami społeczno-politycznymi, ówczesnej społeczności studenckiej, a ściśle mówiąc zbyt mało mówi o ZNMS, tej drugiej socjalistycznej organizacji. A tych sporów i tych kontaktów było ogromnie dużo.

Nie miejsce tutaj je omawiać. Wydaje mi się, że łódzka organizacja akademicka AZWM „Życie" została przez Leśniewskiego wyizolowana i przedstawiona bez tła i konkretniejszych warunków. Organizacje „Wici" i Związek Młodzieży Demokratycznej zostały ledwie dotknięte, co jest już bardziej wytłumaczalne niż tak ogólne potraktowanie Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej.

Pozostawałaby jeszcze sprawa wykorzystania źródeł. Nie wydaje mi się, aby wykorzystano je w zupełności, a mianowicie uderza prawie zupełne pominięcie prasy, w szczególności prasy młodzieżowej, jak ZWM-owskie „Pokolenie", jak wydawane przez ZNMS „Płomienie", a także zbyt słabe wykorzystanie łódzkiej prasy partyjnej.

Ponieważ nie udało się jeszcze chyba żadnemu z autorów ustrzec od czyjejś krytyki, uwagi te nie mogą mieć żadnego znaczenia dla faktu ogromnej potrzeby publikacji, obejmujących ten burzliwy okres historii politycznej naszego kraju.

Przykro pomyśleć, że nakład wynosi jedynie 1000 egzemplarzy.

*) **Łódzka organizacja akademickiego Związku Walki Młodych „Życie" w latach 1945—1948, Wyd. Łódzkie, 1963, str. 227).**

SPROSTOWANIE

Do felietonu Mariana Piechala „Czy Łódź jest prowincją?" zamieszczonego w 13 numerze „Odgłosów" wkradł się błąd techniczny, na skutek którego zostało zniekształcone nazwisko Wicińskiego (chodziło o rzeźbiarza Henryka Wicińskiego, a nie poetę Micińskiego).

Za wynikłe stąd nieporozumienie redakcja przeprasza obydwu dyskutantów, p. Mariana Piechala i p. Aleksandra Postołowa.

PORWANIE pułkownika ARGOUDA

Dalszy ciąg ze str. 1

gierii, Argoud i jego przyjaciele ruszyli do akcji.

22 kwietnia 1961 roku dokonali oni puczu i w parę dni później polała się krew w Algierii. Jednakże generałowie-buczyści Maurice Challe i André Zeller oddali się w ręce sprawiedliwości i zostali przewiezieni jako więźniowie do Francji. Wtedy na widowni pojawili się generałowie Salan i Edmund Jouhaud z oddziałem spadochroniarzy z Legii Cudzoziemskiej. Fakt ten, można uznać za narodziny OAS. Argoud uznał, że pucz kwietniowy był źle przygotowany i przystąpił do współpracy z Salanem, z którym zresztą wkrótce się rozszedł. Salan nie podzielał jego poglądów na temat rozciągnięcia akcji terrorystycznej również poza Algier na teren Francji. Salan uznał Argouda za fantastę. Argoud wycofał się, ale już na jesieni tegoż roku (1961) doszlusował do grupy antygaullistowskiej w Madrycie. W miesiąc później grupę ową przymknięto i zesłano na Wyspy Kanaryjskie, skąd Argoud próbował przekonać Salana (listownie) o potrzebie rozciągnięcia akcji na teren samej Francji. Gdy i wtedy do porozumienia nie doszło, Argoud postanowił działać na własną rękę. Udało mu się zbiec z Wysp Kanaryjskich w tym samym mniej więcej czasie, gdy generała OAS Salana aresztowano w jego algierskim mieszkaniu.

Dopiero w maju 1962 roku Argoud zorganizował nowe kierownictwo OAS, do którego, jak już wspomnieliśmy na początku, weszli Bidault i Soustelle. Teraz Argoud mógł realizować swoją akcję terrorystyczną na terenie Francji, inspirując szereg zamachów m. in. na de Gaulle'a. Ale na swoją stałą siedzibę obrał sobie Monachium (NRF), w którym przebywał od sierpnia 1962 roku. Za wyborem Monachium na kwaterę nowych władz OAS przemawiały następujące względy: dogodne położenie geograficzne miasta (bliska granica z Austrią, Szwajcarią i Włochami), nieszkodliwość miejscowej policji oraz duża ilość cudzoziemców, których w tej bawarskiej stolicy jest ponad sto tysięcy.

Argoud nawiązał kontakty z prasą szwajcarską, angielską i amerykańską, no i oczywiście niemiecką. W pierwszych dniach lutego 1963 roku zgłosił się do pułkownika Argouda przedstawiciel dziennika wiedeńskiego „Die Presse". Oto charakterystyczne wypowiedzi z tego wywiadu: „Nie Adenauer, lecz de Gaulle stanie się szefem nowego porozumienia niemiecko-francuskiego. Generał czuje się już jak Fryderyk Wielki. De Gaulle chce oderwać Europę od Ameryki. Podżega on narody europejskie między sobą, podobnie jak podżegał Francuzów przeciwko Francuzom. Posłowie w jego parlamencie zachowują się jak lokaje dyktatora. Jedyną konstytuującą siłą w naszym kraju są jeszcze komuniści. Generał de Gaulle wspiera się na wygodnictwie Francuzów. Francuzi marzą o autach, telewizorach i podróżach. Francuzi zapomnieli o swojej godności. Generał de Gaulle zasłużył sobie moralnie na to, by go zabić. Zbyt obciążone jest jego sumienie. Ale zabójstwo nie ma dziś sensu. Wystarczy, jeśli generał de Gaulle zniknie z areny politycznej".

W trzy tygodnie później zniknął z areny politycznej pułkownik Argoud. A oto jak się to stało. 25 lutego już po godzinie 23.00 powrócił Argoud z Rzymu do Monachium. Gdy otwierał szklane drzwi hotelu monachijskiego „Eden-Hotel-Wolff", w którym zajmował pokój nr 435, i zbliżał się do windy — jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu. Dwóch mężczyzn wyprowadziło szybko i sprawnie małego pułkownika z hotelu. Na ulicy oddali oni Argouda w ręce dwu innych Francuzów, którzy wcisnęli go na tylne siedzenie limuzyny marki Renault Frégate. Argoud chciał krzyczeć, wzywać pomocy, dostał jednakże potężny cios, zakrwawił się i ucichł. W kilka godzin później dwa czarne auta przejechały niestrzeżonym mostem pomiędzy Kehl i Strassburgiem granicę niemiecko-francuską. Nazajutrz, we wtorek, 26 lutego, „nieznany gość" zatelefonował z kawiarni paryskiej „Esméralda" do głównej kwatery policji paryskiej na Quai des Orfévres, że w pobliżu katedry Notre Dame w niebieskim aucie znajduje się cenne znalezisko. Był to pojmany i uprowadzony z Monachium pułkownik Antoine Argoud. I tak oto zakończyła się kariera jednego z najzuchwalszych przywódców terrorystycznej tajnej organizacji OAS.

Wg tvg. „Spiegel"
OPRAC. JOT.

Książę Radziwiłł dwojga imion Karol Stanisław, „Panie Kochanku" życzy swoim biesiadnikom „Wesołych świąt". Spośród czytelników, którzy znajdą na powyższej ilustracji 10 rekwizytów nie należących do tamtej epoki, następnie nadeślą trafne odpowiedzi do redakcji (kartka pocztowa, ew. list) w terminie do 20 kwietnia br. (decyduje data stempla pocztowego) zostaną rozlosowane cenne nagrody książkowe. Lista nagrodzonych zostanie ogłoszona w numerze datowanym 28 kwietnia br.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 1119. IV. 63. K-4